

Córka Wokulskiego

Roman Praszyński

© Roman Praszyński
Projekt okładki Piotr Krzewski
ISBN 978-83-940659-0-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

Wydano nakładem autora
www.romanpraszynski.blogspot.com

Roman Praszyński

Córka Wokulskiego

Czasami zdaje mi się, że coś zrobię dla świata...
Stanisław Wokulski

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Anioły istnieją. Natalia Pol przekonała się o tym w petersburskim cyrku wiosną 1884 roku. Tego wieczora widownia przy placu Admiralicji była pełna. Na drewnianych ławkach wierciły się piersiaste panny służące, pohukiwali brodaci rzemieślnicy, dostojne matrony karmiły dzieci. Ojcowie rodzin w wytartych surdutach pogryzali gorące kiełbaski roznoszone przez dziewczyny z grubymi warkoczami. Ale gdy Natalia zaczęła swój popisowy numer, hałas ustał, widzowie wokół areny wstrzymali oddech. Wspięła się szybko po maszcie podtrzymującym dach i postawiła stopę na rozciągniętej między słupami linie. Bez zabezpieczeń, wysoko nad ziemią była tylko ona. Wysoka, szczupła dziewczyna o twarzy Marii Magdaleny. Zwiewna, jak tiul, mocna, jak tygrysi pazur. Wolna jak oddech myszołowa. Spojrzała w dół. Głowa przy głowie, jak ziarna słonecznika. Oczy wpatrzone z chciwą uwagą. Zasłonięte dłońmi kobiece usta. Łuk napiętej ciszy. W dusznym powietrzu czuła ciężką woń gazowych lamp, zapach tanich perfum, fetor zwierzęcej szczyny.

– Archaniele Michale – poruszyła wargami. – Daj mi miłość głęboką, jak ta przepaść...

Werbel strzelił niepokojącym crescendo. Acetylenowy reflektor opatrzony wielką soczewką wykroił z mroku jej białą, bufiastą sukienkę i odsłonięte, nagie ramiona. Podświetlone włosy nabrały odcienia burgunda. Rozłożyła ręce, jak czarnoksiężnik Chrystus. Bosą stopą wyczuła chropowatą rzeźbę sznura. Miłośnie przylgnęła do niego podeszwą. Powoli przeniosła tam ciężar ciała. Dołączyła drugą nogę i zawisała nad plackiem areny.

Dziewięcioletni Pietrek, którego matka zabrała do cyrku z okazji urodzin, wyciągnął rękę w marynarskim ubraniu i rozdarł się na całą widownię:

– Mama patrzy! Ona lata!...

Krótki śmiech skwitował jego zachwyty. Natalia nie patrzyła już w

dół. Skupiła się na linie. Pod nią nie było żadnych zabezpieczeń. Właśnie za to płacili widzowie. Do każdego biletu dołączony był niewidzialny aneks – szansa na widok jej krwawej śmierci. Ciała roztrzaskanego na trocinach. Ale szła równo, krok za krokiem. Zdobywała kolejne metry i serce publiki. Werbel szalał. Ludzie też. Klaskali, śmiali się, wstawali z miejsc.

– Ciszej, *riebiata!*... – co strachliwsi uspokajali sąsiadów. – Jeszcze zleci, dajcie spokój...

Czuła radość w piersiach, uśmiech rozświetlał jej twarz. Była spokojna i pewna swego. Jakby nigdy nie była pomiotem ras, pół Żydówką, pół Polką wychowana na Rosjankę; jakby obca jej były codzienna, sąsiedzka pogarda, plemienna wrogość; jakby po łące sunęła, na spotkanie z ukochanym, a nie po krawędzi brzytwy. Widownia czuła jej oddanie i tym dzielniej biła w prawice.

– *Krasota!*... – na trybunach rodzili się jednonocni wielbiciiele.

Pozwoliła sobie na szybkie spojrzenie spod powiek. Może dojrzy tego jedyne, który całe życie szedł w jej stronę? Ich oczy spotkają się – i nic nigdy już nie będzie takie samo?...

Próżny trud. Masa pod stopami zlewała się w jedną plamę. Nie dojrzysz tam absztyfikanta, o nie. Nawet gdyby patrzyła uważnie, nawet, gdyby patrzyła sto lat, nie dostrzegłaby wiotkiej dłoni anioła, która chwyciła dziewięcioletniego Pietrka za kołnierz i korzystając z nieuwagi zaaferowanej matki, pociągnęła w kulisy.

Nudy z tym łożeniem po linie – myślał chłopiec przemykając wąskim korytarzem. – Lepiej poszukam lwa w klatce.

Natalia szła jak w transie. Stawiała stopy pewnie, jak na spacerze do *Ermitażu*. W tym stanie ducha dotarła na środek przepaści. Wokół niej wielkie nic. Gorejąca pustka. Jeżeli anioły istnieją, mieszkają tu właśnie. Do werbla dołączył klarnet. I skrzypki. Z gąszczu nut wyłonił się sypki, jak piasek *Lot trzmiela* Nikołaja Rimskiego–Korsakowa. Powietrze było gęste od napięcia.

Skoczyła salto. Jej ciało mignęło w powietrzu, jak pstrąg w górskim potoku. Przez arenę przeszedł jęk. Z gardeł ludzi wyduszony strach.

I wtedy... – zawsze jest jakieś *wtedy*, które prowokuje anioły – pomyślała o matce. O liście, który dostała rano. Była dzieckiem, gdy jej matka umarła. Wychowała ją babcia. A teraz – dwadzieścia lat później – kobieta, która wydała ją na świat, ożyła. I wzywa do Warszawy. W sercu Natalii gniew miesza się z tęsknotą. Doświadcza uczuć, o które siebie nie podejrzewała.

Na szczęście anioły czuwają. Więc, gdy jej noga leci z liny, wciąż ma szansę.

– Chryste! – woła przestraszony głos z dołu. To matka Pietrka, który posądził Natalię o umiejętność latania. Kobieta boi się o cyrkówkę. Lecz omiata też wzrokiem sąsiednie rzędy. Szuka syna.

Gdzie ten czort polazł? Zawsze z nim kłopoty!

A biała, podniebna baletnica walczy z siłą ciężenia. Ugina nogę, która jeszcze czepia się sznura i wyciągając drugą, próbuje odzyskać równowagę. Przez chwilę jej się to udaje i z piersi tłumu na dole wyrывa się jedno westchnienie ulgi. Ale wygięcie ciała jest za mocne, powoli przenosi ją poza punkt, zza którego już nie ma powrotu. Widownia zrywa się z miejsc. Ludzie wołają, machają ramionami, płaczą. Są przerażeni. Są szczęśliwi. Nareszcie czują, że żyją. Natalia nie poddaje się, odrzuca korpus w przeciwną stronę, próbuje pozostać na linie, ramiona wygięte w tył, jak u pływaka. Walczy o równowagę. Teraz to jedyny plan jej istnienia. Jedyny cel. Jasny jak gwiazda zaranna.

– *Gospadi pomiluj!*... – pod dach cyrku uderza modlitewny skowyt.

Jednak wymach był za mocny. Dziewczyna na sznurze wpada w rosnącą huśtawkę. Lina pod jej nogami skacze na boki, jak żywa. A ona daremnie próbuje pozostać w równowadze.

Natalia odrywa się od białej kreski rozpiętej pod powałą i powoli, jak to zdarza się w snach, nierealnie pomału leci w bok, machając wszystkimi kończynami. A nogi ma piękne, długie, ramiona toczone, jak z alabastru, łuk szyi perłowy; a wszystko nagie, odsłonięte ku zachwytowi i zgrozie plebsu. Jeszcze przez chwilę ludziom na dole żołądki skaczą do gardła, bo zdaje im się, że dziewczyna zdoła schwytać się dłońmi liny. Ocaleje. Lecz nie. Siła upadku jest za duża. Natalia mija życionośny sznur o włos. Z otwartymi ustami, z których przenikliwym krzykiem wydostaje się cała rozpacz jej samotnego życia, opada w dół. Później świadkowi tragedii daliby sobie ręce uciąć, że ta chwila trwała wieczność.

Wieczność to dobry czas dla aniołów. One swój plan miały przygotowany od dawna. Być może od chwili, kiedy Duch unoszący się nad wodami powiedział: *Jestem...*

Wiec zanim jeszcze Natalia postawiła stopę na linie, clown Albert, który pełnił w petersburskim cyrku również rolę ciecia, zapomniał zamknąć klatkę z niedźwiedziem. Stary Misza, brunatny misiek z oberwanym uchem, który tego wieczora swoje już odegrał, spał zwinięty w rogu, obok miski z wodą. Dziewięcioletni Pietrek, doprowadzony tam delikatnie przez wiotką dłoń, aż podskoczył z radości. Wyjął kapiszon, co

go miał schowany w kieszeni marynarskiego ubranka i odpalił nad uchem miśka. Obudzony wystrzałem zwierz wyprysnął z klatki z siłą pocisku. Przerażony Pietrek posikał się w nowe spodnie, ale niedźwiedź ani myślał wyżywać się na gówniarzu. Rycząc pognął przed siebie. A kierunek wypadł mu akurat na arenę. Więc gdy Natalia opadała w krzyku, na dywanie z trocin pojawił się pędzący niedźwiedź. I te dwa ruchome pociski sunąc prostopadle, spotkały się w jednym punkcie. A były nim plecy miśka.

Natalia walnęła w żywy bufor i zastygła nieruchoma. Zwisała z włochatego grzbietu, jak szmaciana lalka. Wyszła z ciała. Czasami jej się to zdarzało. Widziała samą siebie z góry. Zobaczyła stamtąd upadek i miękkie lądowanie. Dostrzegła, że ogłuszony zwierz rozpląszczył się na arenie. Że spomiędzy starych zębów wypełził język. I kropla posoki. Ludzie na widowni zastygli. A potem wybuchli.

– Żyje? – wołali z nadzieją.

– Doktora sprowadzić, doktora!...

– Raczej popa ...

Matki zasłaniały oczy swoim pociechom. Panienka o włosach upiętych w kok zemdliała. Gruby urzędnik wznosił modły. Żandarm szłochał. Kilkoro najodważniejszych widzów przesadziło barierę i podbiegło do dwójki nieprzytomnych. Ktoś pochylił się nad ustami kobiety, słuchając oddechu. Ktoś szarpał miśka za kudły. Ktoś wołał wniebogłosy. Lecz już od kulis biegł Rublow. Dyrektor w fioletowym fraku i zielonej kamizelce. Cygaro w zębach.

– Wracać, kochani, wracać – wypychał widzów.

I sam z pomocą clowna Alberta, który porzucił picie piwa na zapleczu, dźwignął nieprzytomną dziewczynę.

Zanieśli ją do wozu Rublowa. Leciała przez ręce.

A na arenę wpadli żonglerzy i tancerki. Orkiestra zagrała skoczne walczyki. Widowisko musi się toczyć.

Dyrektor nie miał pojęcia o ratowaniu ludzi, więc wlał w usta Natalii, co miał pod ręką. A była to *Stolicznaja*. Dziewczyna zakrztusiła się i otworzyła oczy.

– Bogu dzięki... – westchnął dyrektor cyrku i przeżegnał się. Clown tylko splunął pod nogi. Inaczej nie umiał okazywać uczuć.

– Co się stało? – jęknęła Natalia.

– Dziecko... – dyrektor powstrzymywał łzy. – Żyjesz...

Natalia patrzyła niewidzącym wzrokiem. Spróbowała się podnieść, ale ból szyi powalił ją na leżankę. Obróciła się tylko na bok i

zwymiotowała na dywan mieszaniną krwi i żółci.

– Do szpitala... – mruknął clown.

Dziewczyna przestraszyła się.

– Nie!

Nienawidziła konowałów. Bała się strzykawek i skalpeli. Do mdłości doprowadzał ją zapach lizolu.

Dyrektor nie nalegał. Stary kutwa liczył każdy grosz. Oprócz tych, które zostawiał w lupanarach.

Poprawił tylko dziewczynie poduszkę pod głową i przykrył ją kocem.

– Jak się czujesz?

Natalia kiwnęła słabo głową.

– Dobrze... chyba...

Jeszcze wciąż była tam, na linie, pod powałą cyrku. W świetle reflektora szła równo jak po szosie. Jej życie zastygło w tym momencie. Czy kiedykolwiek zejdzie na ziemię?

Zaraz wpadł do budy dyrektora Sasza, siłacz rwący łańcuchy. Potężny grubas w koszulce w czarno-białe pasy. Liznął kiedyś weterynarii, więc w trupie Rublowa pełnił rolę lekarza.

– Byłaś wspaniała, *diwuszka!*... – zagadywał Natalię, obmacując ją po całym ciele. I choć kilka razy krzyknęła, oględziny wypadły pomyślnie.

– Kości całe – krzyknął radośnie. – Jeżeli wewnętrzne organy nieuszkodzone, niebawem będziesz skakać po linie, jak małpa.

Natalia uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Za to Rublow spojrział bykiem.

Przegonił całą trupe, która zebrała się pod drzwiami, pełna troski o dziewczynę.

– Jutro – wołał. – Jutro ją zobaczycie. Teraz dajcie pokój!

– Śpij dobrze, Natalia – krzyknęły tancerki.

– To był cud. Bóg cię kocha! – dorzucił połykacz ognia.

Clown Albert gęsto pluł pod nogi.

Anioły zadowolone z roboty, wzięły sobie wolne. Dlatego następnego dnia rano dyrektor ją zaskoczył. Natalia przespała noc na jego leżance, wiercąc się i gorączkując. A gdy obolała wstała rano, żeby wysikać się do wiadra, wpadł do przyczepy. Przekimał noc w wozie akrobaty. Teraz zarzucił na ramiona Natalii płaszcz i wcisnął jej do ręki dziesięć rubli.

Cyrkówka zdziwiła się.

– Za co?

Rublow przełknął ślinę. Nie było mu łatwo. Ale wiedział, że robi dobrze.

– Popatrz – pokazał jej swą lewą dłoń.

Nie musiał tego robić. Wszyscy w cyrku wiedzieli, że ma protezę. Prawdziwą rękę odgryzł mu nubijski lew.

– Kiedyś byłem świetnym treserem dzikich zwierząt... – zaczął. – Ulubieńcem dam. Te bogatsze rzucały na arenę swoje pierścienie i kolczyki. Te zgrabniejsze czekały na mnie w swoich karetach. Chciały, żebym tresował je w ich alkowach... Ale gdy lew odgryzł mi dłoń, wszystko się skończyło. Już nigdy nie miałem odwagi stanąć oko w oko ze śmiercią. Uciekłem z areny. Ty, dziewczyno, też jesteś skończona. Już zawsze na linie będziesz myślała tylko o jednym. Kiedy spadnę? Kiedy roztrzaskam swoje młode ciało o ziemię posypaną trocinami? I roztrzaskasz, bez wątpienia!

Natalia wciąż była zaspana.

– Panie Rublow, brednie.

– Nic nie mów!

Wypchnął ją z wozu. Poprowadził przez błotnisty plac. Nie miała siły stawiać oporu. Konie stały przy pustych żłobach. Egzotyczne zwierzęta w klatkach patrzyły smutno. Okna w kolorowych wozach były pozasłaniane. Cyrkowa brać odsypiała nocne szaleństwa. Natalię bolało całe ciało. A w jej sercu budził się żal przeczuwanego nieszczęścia.

Czekała na nią dorożka. Rublow wepchnął do niej Natalię – szybko, szybko, żeby nikt nie zobaczył, nie zatrzymał. I wyrzucił z siebie:

– Zwalniam cię.

Natalia spojrzała na niego z rozpaczą. Jak pies wykopany za drzwi.

– Dyrektorze... to moje życie...

Rublow odwrócił twarz. Czuł, że jest świnią. Wiedział, że inaczej nie może. To dla jej dobra. Natalia miała w Petersburgu kuzyna. Nie znajdzie się na bruku.

– Nie wracaj tu nigdy...

Oszołomiona, obolała, ze łzami w oczach skuliła się na ławce dorożki. Dorożkarz zaciął konie.

II

Nad Warszawą pękło niebo. Szpony pioruna jak łapa czarta z hukiem rozorały nocny firmament. W sinym świetle błyskawicy wynurzyło się z ciemności ponure cielsko Cytadeli Aleksandrowskiej. Wysiedlono tysiące

ludzi, aby wnieść tę monstrualną *tiurmę*. Budowana przez trzydzieści lat, powstała dzięki niewolniczej pracy chłopów, warta była górę złota. Górowała nad miastem niczym pajęczycą nad bezbronną muchą. Śledziła każdy ruch setkami armatnich oczu wycelowanych w Starówkę. Ceglane flanki, za którymi stacjonowały tysiące żołnierzy rosyjskiego zaborcy na moment mignęły w czarnej toni Wisły. Zaraz potem chlusnął deszcz. Burza załała świat jak Ruscy Polskę.

Kolejny błysk piorunu oświecił bramę warowni, przez którą wyszła dziwna procesja. Dwóch więźniów ze skutymi stopami biegło truchtem, dźwigając nieforemny pakunek. Worek, do którego upchnięto zwłoki skazańca. Mini kondukt pogrzebowy strzegło dwóch wartowników. Na plecach karabiny, w rękach łopaty.

– Kogo chowamy? – zapytał młodszy z więźniów, chorowity robotnik aresztowany podczas zamieszek u L.M. Lilpopa.

Żaden ze strażników nie raczył odpowiedzieć.

Nieszczęśnika takiego jak my – pomyślał gorzko drugi więzień, były sędzia cywilny, urzędujący przy Miodowej, osadzony za konszachty z *Narodnoj Wolej*. – Niech śmierć pochłonie moich braci Rosjan, sługusów tyrana...

Zatrzymali się na stoku upstrzonym kępami wyschłej trawy. W pobliżu krzyża, gdzie przed laty rozstrzelano Traugutta. Skazańcy położyli worek na ziemi i zabrali się do kopania. Strażnicy o przekrwionych oczach stanęli o dwa kroki od nich i wsparli się na karabinach. Deszcz lał.

Były sędzia odłożył łopatę i otarł twarz. Spadająca z nieba woda oślepiała. Strażnikowi nie spodobała się samowolna przerwa w pracy. Szturchnął więźnia kolbą karabinu. Uderzony upadł w mokrą glinę.

– Szybciej, psy – warknął oprawca w języku Puszkina. – Nie jesteśmy na balu.

Więźniowie walczyli rozpaczliwie z lepką ziemią, co nie było łatwe ze skutymi kajdanami stopami. Umęczeni pracą nie zwrócili uwagi na powóz, który wspinał się pod górę do wschodniej bramy. Obite żelazem koła turkotały na mokrych kamieniach.

Była to złowieszcza *prelotka* Wlassowskiego, zastępcy oberpolicmajstra Warszawy. Gdybyśmy włożyli głowę do jej obitego czarną skórą wnętrza, zobaczylibyśmy postawnego mężczyznę o brwiach gęstych, jak syberyjska tundra i mocnej szczęce. Przez policzek biegła mu czerwona szrama. Blizna po ofensywie na Adrianopol. Za pasem munduru opinającego szeroką klatkę piersiową tkwił kindżał, noszony wzorem krwiożerczych Czerkiesów.

– Zaraz będziemy, profesorze – zwrócił się do siedzącego obok mężczyzny z monoklem w oku.

– Nie mogę się doczekać – odparł tamten, poprawiając muchę pod kołnierzykiem koszuli.

Konstantin Ciołkowski. Profesor Instytutu Technologicznego w Petersburgu, znawca materiałów wybuchowych, entuzjasta maszyn latających. Przybył tu na wezwanie oberpolicmajstra Warszawy.

– Wasz przełożony ściągnął mnie obietnicą tak cudowną jak chodzenie po wodzie zbawcy naszego, Jezusa Chrystusa – uśmiechnął się petersburski uczonek. – Jeżeli wszystko to okaże się prawdą... – zawiesił głos. – Świat nigdy już nie będzie taki sam...

Wlassowski kiwnął głową.

– Kibalczych mówi to samo.

Przywołał nazwisko Władimira Kibalczyca, więźnia X Pawilonu, oskarżonego o spisek na życie Jego Wysokości cara Wszechrosji Aleksandra III. I skazanego na śmierć. Jednak terrorysta zamiast dyndać na szubienicy, pracował w wilgotnej celi nad tajemniczym wynalazkiem.

„Darujcie mi chociaż kilka miesięcy życia – błagał sąd wojskowy ten oszalały od nihilizmu syn żydowskiego handlarza wódką. – Niech dokończę swój pomysł. Wcześniej nie miałem na to czasu, musiałem konstruować bomby dla moich towarzyszy zamachowców”.

Sędziowie posłali go wszystkich diabłów. Ale Buturlin wybronił przed katem. O, Buturlin to szczwany lis. Widzi dalej niż te zakute łby z wojskowego sądu.

Prelotka zatrzymała się u bram cytadeli. Żandarm wychylił w noc swą wilczą gębę i wrzasnął na strażnika:

– Wpuszczaj, łachudro. Naczelnik czeka.

Żołnierz zasalutował i gorliwie zastukał w odrzwia. Wielkie, wzmocnione żelaznymi sztabami wrota uchyliły się powoli, ukazując czarny wlot tunelu. W migotliwym świetle kołyszącej się na wietrze lampy naftowej powóz wjechał na wewnętrzny dziedziniec X Pawilonu. Profesor Ciołkowski wzdrygnął się mimowolnie.

Przypadek decyduje, kto z nas opuści te mury – pomyślał strachliwie. Jak każdy poddany Jego Cesarsko-Królewskiej Wysokości Aleksandra Aleksandrowicza, pana Wszechrosji nie był pewien dnia, ani godziny.

Oślaniani przez woźnicę dużym parasolem przedarli się przez błotnisty plac i schronili w biurze naczelnika więzienia. Stary Rosjanin, weteran, który walczył pod Sewastopolem, przyjął ich zgięty wpół.

– Witam, witam – wykrzywił twarz w grymasie, który brał za

uśmiech. Felczer wziąłby to za ból zębów. – Każę zaraz rozpać samowar.

I szerokim ruchem ręki zachęcał gości, aby spoczęli na kanapie. Mebel pamiętający założyciela fortecy, Mikołaja I, świecił wytartym sukrem.

– Nie czas na pogawędkę – zgaścił go Włassowski. – Prowadźcie do więźnia.

Naczelnik zdjął czapkę z czerwonym otokiem i podrapał się po resztkach włosów.

– A którego z tych łachudrów Wasza Miłość ma na myśli?

Włassowski sarknął w myślach: *Durak...* Dlaczego zawsze zatrudniają największych idiotów?

– Kibalczyca – warknął. – Potrzebny nam Żyd wynalazca. Profesor musi się z nim rozmówić...

Naczelnik rozłożył ręce gestem kata odmawiającego skazańcowi kubka wody.

– To niemożliwe...

Włassowski odruchowo złapał za kindżał. Za mniejszą bezczelność skazywał na chłostę.

– Czy dobrze usłyszałem? Odmawiacie wykonania rozkazu oberpolicmajstra Nikołaja Buturlina? Brata naszego miłościwie panującego cara Aleksandra Aleksandrowicza?

Naczelnik zbladł. Gdyby mógł, rozpląszczyłby się na podłodze jak jego stary, wydeptany dywan.

– Gdzieżbym śmiał... – zaśmiał się nerwowo. – Niestety, nawet nasz miłościwie panujący carsko-królewski władca imperium musi się ugiąć przed wyrokami opatrności... Kibalczych wymknął się...

Włassowski spurpurowiał. Wyszarpnął kindżał i rycząc, podskoczył do naczelnika.

– Daliście mu zwać?!

Twarz starca przypominała pysk kopniętego psa.

– A gdzieżby. Umarł.

Włassowski zamarł. Schował broń i odstąpił dwa kroki.

– Nie żyje?

Nie mógł tego zrozumieć.

– Zamęczyliście go? – zapytał groźnie. – Przecież rozkazy były wyraźne. To więzień o wyjątkowym statusie. Nietykalny...

Naczelnik oblał się potem. Poluźnił ciasny kołnier.

– Kiedy on sam... na suchoty... dziś rano... Właśnie go zakopują pod murami...

Wlassowski zbladł. Ręka znów powędrowała do ostrza.

– Był chory? Dlaczego nie meldowaliście?

– Nie było rozkazu.

Wlassowski zamarł.

„Nie było rozkazu”, święte słowa. Absolutna ochrona. Wszak samodzielność w państwie cara była grzechem.

– Pan wybaczy, profesorze...

Zastępca oberpolicmajstra podszedł do okna. Odsłonił grubą kotarę. O szybę monotonnie walił deszcz. Wlassowski myślał intensywnie.

Po minucie odwrócił się od okna. Uspokojony.

– No dobrze – wycedził. – Jednego pejsatego mniej. Prowadźcie do jego celi.

Naczelnik wypuścił powietrze ze świstem. Uratowany. Ochoczo podskoczył do drzwi, aby wskazać gościom drogę. Oczy mu się śmiały. Miał ochotę śpiewać. Humor nie opuszczał go aż do drewnianych drzwi, za którymi więziono zmarłego geniusza.

Skinął na wartownika, by ten przekręcił klucz w zamku.

– Nic nie ruszaliśmy – pokazał na prycę i stół. Na drewnianym gołym blacie leżały papiery. Pod zakratowanym oknem na półce stało kilka książek.

Wlassowski skoczył do przodu. Zatrzymał się przy stole zbitym z nieheblowanych desek i zaczął grzebać wśród zapisków. Z okrzykiem triumfu wyciągnął zielony zeszyt. Pomachał nim do profesora.

– Przez ostatnie miesiące Kibalczych tutaj zapisywał swoje obliczenia. Jesteśmy uratowani!

Wręczył uczonemu z Petersburga niepozorny notatnik. Ten wziął go z mieszaniną ekscytacji i niedowierzania.

– Światła – zagrmiał Wlassowski. – Więcej światła!

Strażnik przyniósł dodatkową lampę i postawił na stole. Ciołkowski podwinął poły fraka i usiadł na prostym taborecie. Zajrzał do tajemniczego zeszytu. W miarę jak przeglądał obliczenia, zgłębiał matematyczne wzory, analizował zapiski kreślone drżącą dłonią chorego człowieka, jego twarz wydłużała się, a oczy powiększały. Wlassowski obserwował go z niepokojem. Cały plan jego szefa Nikołaja Buturlina, cała ich przyszłość zależały tego człowieka. Od jego oceny. Czy mają w rękach skarb, czy bezwartościowe zapiski szaleńca? Gdy Ciołkowski skończył i odłożył zeszyt, w celi słychać było tylko chrobot korników w stołowej nodze.

Wlassowski podniósł pytająco brwi.

Petersburska sława naukowego świata klepnęła dłonią w deski stołu.

Uderzenie zabrzmiało jak wystrzał.

– Geniusz! – profesor z Petersburga zaśmiał się wysokim głosem. Podziw mieszał się z zazdrością. Zachciało mu się płakać. Wzruszenia wytrącały go z równowagi. Szybko zapanował nad wybuchem emocji. Poprawił muszkę. Uśmiechnął się.

– To oczywiście zbrodniarz. Zamachowiec... Ale jaki umysł. Szkoda, że nie mogę z nim porozmawiać. Jak uczony z uczonym...

Włassowski zbliżył się do Ciołkowskiego.

– Zatem to wszystko prawda, co mówił? Mamy nową, straszną broń?

Profesor poskubał się po swojej angielskiej bródce. W Petersburgu takie były modne w pewnych kręgach. Na jego wargach wciąż igrał szelmowski uśmiech.

– Myślę, że o wiele, wiele więcej...

III

Dorożka jechała Newskim Prospektem. Natalia patrzyła na Petersburg, jakby wylądowała na obcej planecie.

Gdzie ja jestem? – Myślała obolała. – Kto wzniósł to chore, przerażające miasto?

Domy wielkie jak kościoły szatana. Marmurowe zamki bogaczy, którzy zbili fortuny na rządowych zamówieniach. Niekończące się ulice, pod którymi skryto cmentarze. Chodniki zapchane mundurowymi. Wojsko, żandarmeria, studenci, urzędnicy. Najmarniejszy kancelaryjny gryzipiórek obowiązkowo w wojskowym uniformie. Skoszarowane społeczeństwo. Armia poddanych cara.

Wszyscy zamknięci w więzieniu wielkim jak kraj – myślała.

Dusiła się.

Chciała płakać. Załkała nawet. Ale sucho. Bez łez. Czuła, że płacz rodzi się w piersiach, podchodzi do gardła, wspina się wyżej i utyka gdzieś między nosem a oczami. Nie potrafiła się rozpłakać. Pragnęła, marzyła, żeby się rozbeczeć, rozmazać, zasmarkać. Rozpłynąć w słonej powodzi. Ale nic z tego. Nie umiała. Od śmierci babci łyzy zamieniły się w kamienie.

Zakłęła więc mocno. Po dorożkarsku. To przyniosło ulgę.

Woźnica odwrócił się przez ramię.

– To dokąd jedziemy? – zapytał, wymijając piwowara, który wtoczył na jezdnię beczkę z piwem

– Dokąd?.. – Szczęki miała zaciśnięte, jakby gryzła żelazo. – Do domu.

– A gdzie szanowna panienka raczy mieszkać?

– Róg Jamskiej i zaułka Kuzniecznego.

Furman cmoknął i popędził konie.

A jeżeli on ma rację? – pomyślała o Rublowie. – I nigdy już nie przejdę po linie?

Niczego gorszego nie potrafiła sobie wyobrazić.

Cyrk to było całe jej życie. Matki nie знаła. Babcia Teodozja zginęła w pogromie, gdy Natalia miała trzynaście lat. Późniejszy czas spędzony w Petersburskim Instytucie dla Dziewic był koszmarem. I dopiero trupa Rublowa stał się jej rodziną. Prawdziwym domem.

To nie była strata pracy. Pieniądze można zarobić wszędzie. To była zdrada. Cios w serce...

Jak żyć? – myślała. – Jakie mam prawo żyć? Czy świat choć przez sekundę zainteresuje się losem takiej jak ja sieroty? Wyrzutka, kundla, mieszańca?

Próbowała się modlić, lecz na próżno. Zmieniała słowa modlitwy, zmieniała bogów, do których wznosiła modły. Czy ma błagać Jahwe, czy jego chrześcijańskiego brata bliźniaka? A może płakać przed obrazem Najświętszej Panienki, bo jakie to niebo bez kobiety? Jaki to wszechświat, w którym brakuje Stworzycielki? Więc modliła się *Ojcie Nasz i Matko Nasza...* – i już sama nie wiedziała, kim jest. Czy ma prawo kogokolwiek prosić o pomoc, skoro nie należy do żadnego plemienia?

– Dwadzieścia kopiejek – z ponurych rozmyślań wyrwał ją dorożkarz.

Weszła po ciemnych, brudnych, cuchnących moczem schodach. Trzymała się ściany z odpadającą farbą. Niepewna, obolała od upadku. W ustach gorycz żółci. Zadzwonila, dzwonek brzęczał głucho, jakby był z żeliwa, nie z miedzi.

Drzwi otworzył Andriej. Wysoki, siwy, w aksamitnym szlafroku. Bystre, lecz podpuchnięte z niedospania oczy.

Uśmiechnął się serdecznie.

– Siostrzyczko. Skąd ty tu?

Poczuła ciepło w sercu. Wilgoć pod powiekami. Oto jedyny człowiek, dla którego coś znaczy. Bliski jak rodzony brat. Wszak wychowali się razem. Objęła go z czułością. Oddał uścisk. Ach, jak dobrze poczuć pewne męskie ramiona. Zapach cygar. Nagłą falą wrócił smutek.

– Och, Andriej, co za nieszczęście!

Spojrzał uważnie. Poczuła, jakby zajrzał na dno jej duszy. Nie powiedział nic, wciągnął do mieszkania. Zamknął drzwi i poprowadził do

pokoju, gdzie stała kanapa z wysokim drewnianym oparciem. Posadził, przyniósł szklankę herbaty.

Siadł obok, otoczył ramieniem.

– Mów...

Opowiedziała mu ostatnie wydarzenia. Oczy miała suche. Ale serce skowyczało żalostí.

Andriej wysłuchał uważnie. Potem złapał delikatnie za ramiona.

– Jesteś cała?

Pokiwała głową, że tak. Jest cała. Zdrowa. Choć poraniona na duszy.

Andriej uśmiechnął się znów. Uśmiech miał anielski.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszył. – Dobrze, że żyjesz. Dobrze, że ten dusigrosz Rublow cię wyrzucił. Będiesz mi teraz bardzo potrzebna.

IV

Włassowski odwiózł Ciołkowskiego do Hotelu Europejskiego. Zostawił w pokoju 212 i zaraz skoczył *prelotką* na plac Teatralny pod ratuszem. Gdy uchylał drzwi do gabinetu swojego szefa, oberpolicmajstra Nikołaja Aleksandrowicza Buturlina, ten posuwał gryzetskę. Stał przy biurku z opuszczonymi spodniami. Przed nim, z szeroko rozłożonymi nogami, falowała piersiasta czarnulka, popiskując omdlewająco. Wielki nagi zad oberpolicmajstra napierał z rozkoszą, mięśnie pośladków kurczyły się rytmicznie, plecy wygiął niczym marcujący kot. Włassowski stał w progu i chłonał ten widok. Nad głową Buturlina, na beżowej ścianie gabinetu wisiał portret Jego Wysokości Imperatora Aleksandra III, cara Wszechrosji. Podmalowany na olejno łysiejący wąsacz wytrzeszczał gały.

Wygląda, jakby Buturlin dymał cara – pomyślał zastępcą, stary lubieżnik.

Chrząknął, aby zwrócić uwagę szefa.

Oberpolicmajster obejrzał się i zobaczywszy przy drzwiach Włassowskiego, mrugnął rozradowany.

– Ma... macie?

Zapytany tylko trzasnął obcasami i skinął energicznie głową. Z dumą wyciągnął przed siebie skórzaną teczkę. Minę miał rozradowaną.

– Po... po... poczekajcie... – usłyszał. I przez parę chwil podziwiał, jak jego przełożony, strażnik i kat Warszawy, szczytuje we włochatych odmętach kokoty.

Buturlin zaskowyczał, zatrząsł się i opadł na jasny brzuch płatnej kochanki. Już po chwili poderwał się, skoczył do okna, wytarł kuśkę w

ciężką zasłonę i wciągnął spodnie.

– Chcecie? – pokazał na nagą kobietę. – Inez jest słodka.

Wlassowski nie omieszkiał skorzystać. Obrócił kobietę na brzuch i szybko wsunął swojego kozackiego zaganiacza w jej rozklepaną dziuplę. Jęknęła. Ruski dyszał, gniotąc jej ramiona w potężnych łapskach. Na łopatkach miała wydziergane dwa pierzaste skrzydła. Kiwały się w rytm uderzeń jego bioder.

Zasapany po miłosnych ćwiczeniach oberpolicmajster wyjął z czarnej skórzanej teczki z miedzianymi okuciami zielony zeszyt. Przerzucał chciwie jego strony, wpatrując się z rozkoszą w niezrozumiałe wzory matematyczne, wykresy i techniczne rysunki kreślone nieporadną kreską.

Skarb, prawdziwy skarb – cieszył się w myślach bez zacinania.

Słyszając, że podwładny dochodzi, zadzwonił na służbę. Wszedł Wania ubrany w kozackie pantaloney i lnianą koszulę ze stójką. Włosy miał gęste jak snopek słomy. Udał, że nie widzi nagiego zadu Kozaka.

– Koniak – rozkazał Buturlin. – Najlepszy.

Służący przyniósł gruzińską brandy za czterdzieści pięć rubli butelka. Nalał od serca do dwóch grubo rżniętych kielichów.

Wlassowski skończył, skowycząc.

– Zapłaćcie i wy... wyrzućcie ją – rozkazał oberpolicmajster, a sam rozwalił się na kanapie obok kaloryfera. Ratusz, podobnie jak pobliski Teatr Wielki od niedawna cieszył się tym zachodnim wynalazkiem

Wlassowski bez słowa wyjął pięć rubli. Złapał cichodajkę za kręcone włosy i wcisnął jej papier między nogi. Kobieta próbowała protestować, ale ból przywołał ją do porządku.

– Sucz... – warknął żandarm.

Wypchnął prostytutkę za drzwi, a za nią rzucił ciuchy.

Chwycił butelkę gruzińskiej brandy, swój kielich i dołączył do szefa.

Przypili.

– Za cara! – rzekł Wlassowski.

– Oby żył wie... wiecznie! – mrugnął Buturlin.

W jego ustach toast nabierał dwuznaczności. Był przyrodnim bratem władcy Rosji. Carskim bękartem. Brat nie był mu życzliwy. Szczerze mówiąc, kariera oberpolicmajstra wisiała na włosku. Odkąd od bomby polskiego terrorysty zginął ojciec obydwu, Aleksander II, Buturlin drżał o stołek.

Teraz przyglądał bokobrody zmierzwione w miłosnym szale i położył na kolanach czarną teczkę z zielonym zeszytem. Dotknął ją delikatniej niż piersi kochanki. Kobiety zwykle miętosił.

– Potrzebuję zło... zło... złotego strzału – odezwał się do Włassowskiego, przed którym nie miał tajemnic. Jechali wszak na tym samym wózku.

Zastępca nalał powtórnie bursztynowego gruzina.

– Kubalczycz to genialny wynalazca – zapewnił. – Ciołkowski nie ma wątpliwości...

Buturlin łyknął brandy.

– Kubalczycz jest łajdakiem i psem – sapnął. – Popieprzonym re... re... rewolucjonistą.

Włassowski rozlał ponownie.

– Był...

Buturlin spojrzał pytająco.

– Gruźlica. Dziś go zakopali.

Oberpolicmajster zerwał się na równe nogi.

– U... u... umarł? Zdechł?

W jego głosie dzwięczała histeria. Stanął przed zastępcą. Wziął się pod boki.

– Chcecie powiedzieć, że nie pojedzie ze mną do Mi... Mi... Ministerstwa Wojny?! – zapiał z wściekłością. – Że nie pokażę im naszej cudownej kury znoszącej złote jajka?! Przecież to... ka... ka... ka...

Próbował wypluć słowo. Nie dał rady

– Katastrofa? – podrzucił Włassowski.

Buturlin padł obok niego na sofę.

– Pies to jebał! – wykrztusił bezbłędnie.

Włassowski odczekał chwilę. Buturlin temperament miał jak tuszę. Wielki.

– Szeffie... – zaczął łagodnie, jak do dziecka. – Mamy zeszyt i Ciołkowskiego. Nic więcej nam nie trzeba.

Buturlin chwilę przeżuwał jego słowa. Włassowski kontynuował:

– Ciołkowski skonstruuje według planów Kubalczycza rakietę. Damy carowi do ręki broń, jakiej nie miał jeszcze żaden władca. Gdy zechce, zmiecie z powierzchni ziemi całe miasta. Całe narody. Kto mu się oprze?

Buturlin kiwał głową w rytm słów swojego zastępcy. Jego tłuste oblicze zdawało się mówić: Tak. Właśnie tak. Tak, nie inaczej...

Z radością klepnął się po grubych udach. Zarechotał. Znów był sobą. Birbantem, utracjuszem, pijanicą. Panem stolicy *Priwislenia*.

– Ża... żadna Turcja, Austria czy Japonia nie podskoczą teraz naszemu ukochanemu Oswobodzicielowi – śmiał się. – A kto mu wręczy

ognisty miecz? Kto na tacy przyniesie mu władanie nad świa... świa... światem?

Wlassowski wyciągnął długie nogi, jedną rękę położył na oparciu kanapy. Drugą uniósł butelkę jak puchar zwycięstwa.

– Jego wspaniały brat... Wasza Ekscelencja Nikołaj Aleksandrowicz Buturlin!...

Oberpolicmajster beknął z wyczuciem dramatyzmu.

– Otóż to. I nasze kło... kłopoty wreszcie się skończą.

Znów przypili.

Przez chwilę panowała błoga cisza. Obaj roztrząsali cudowne korzyści, które spłyną na nich wraz z łaską cara. Wreszcie Buturlin się otrząsnął, wsadził koszulę do spodni, przeczesał dłonią siwiejące włosy. Podniósł czarną teczkę i klepnął w nią.

– Najważniejsze, że mamy plany – stęknął. – Sam Kubalczyz potrzebny nam... jak chu... chujowi cycki!

Wlassowski przyklasnął.

– Ten zeszyt jest wart więcej niż Alaska, którą wasz świętej pamięci ojciec sprzedał Amerykańcom – zapewnił żarliwie. – A Kubalczyz niech gryzie ziemię pod Cytadelą!

Wybuchnęli śmiechem. Dobry żart lepszy niż gorzałka.

Buturlin wyciągnął z biurka dwudziestoletnią J&B, whisky, którą pijała nawet królowa Wiktorja. Jak każdy alkoholik wiedział, że po tym nie trzaska łeb. Nalał do kielichów po brandy. Wypili i zgodnie roztrzaskali szkło o ziemię.

– Pi... pi... pijanym szczęście sprzy... sprzyja! – zawołał Buturlin.

Zadzwonił dzwonkiem stojącym na komodzie.

– Każ zaprzęgać, Wa... Wanieczka – miękko rozkazał oberpolicmajster. – Czas mi do Petersburga ruszyć. Spotkanie ma... mam z carem umówione.

Gdy wsiadał do stojącej pod ratuszem bryczki, aby udać się na dworzec kolei Warszawsko-Petersburskiej, ledwo trzymał się na nogach. Gdyby wiedział, co anioły szykują mu w podróży, wytrzeźwiałby w sekundę.

V

– Nie patrz!

Natalia rzuciła w Andrieja ściągniętym białym strojem cyrkówki. Mężczyzna siedział na łóżku. Złapał spódniczkę i odwrócił się do

dziewczyny plecami. Siwe włosy opadły mu na kołnierz marynarki. Miał niecałe trzydzieści lat i białą głowę. Kruczoczarne włosy wyblakły jednego dnia. Przed plutonem egzekucyjnym.

Natalia stanęła przed lustrem naga. Spojrzała na swoje śniade ciało z czułością handlarza niewolników. Długie nogi, tarcza brzucha w obramowaniu wąskich bioder, piersi, które mieściły się w miseczkach dłoni. Czarne kręcone włosy. Jerozolimskie oczy. Spojrzenia mężczyzn goniły ją na ulicach. Wołały o pożądaniu i tęsknocie. Ale ona w lustrze widziała pokrakę. Za chudą, za wysoką. I ten nos... Na całej tafli lustra rozpychał się wielki jak synagoga nochal. Nienawidziła go.

Andriej zaklaskał. Patrzył na Natalię zachwyconym wzrokiem. Znał jej ciało, bo nieraz kąpali się nago w rzece w majątku babki Teodozji. Ale wtedy byli dziećmi. Dziś miał przed sobą kobietę. Dziewczynę smukłą jak świerk na piaskach.

– Piękna.

Podszedł bliżej. Natalia, jak kobiety na obrazach starych mistrzów, zasłoniła skromnie łono i piersi.

– Jestem okropna... nie znasz się...

Wiedziała, że wołał chłopców.

Andriej pokręcił głową.

– Buturlin będzie zaszczycony, że okradnie go tak wspaniała kobieta...

Dotknął jej biodra. Lekko przeciągnął palcem po aksamitnej skórze. Natalia poczuła miłe mrowienie rozlewające się po całym ciele.

Przytulił ją. Zakręciło się jej w głowie.

Pocałuj mnie, bracie – prosiła w duchu. Nadaremno. Andrieja podniecała tylko jedna kochanka. Rewolucja.

– Włóż – podał jej swoją koszulę.

Natalia przebrała się za mężczyznę.

Widziała w lustrze, jak jej kształty giną w luźnych czarnych spodniach i marynarce. Jak z niezgrabnej dziewczyny zamienia się w młodego mężczyznę, robotnika, proletariusza.

Jakie to proste – myślała. – Ukryć się przed losem.

Jako nie kobieta nie musiała zamartwiać się swoim bólem. Teraz w pokoju było dwóch młodych mężczyzn. Chłopaków, którzy chcieli zmienić świat.

Andriej machnął telegramem.

Cioteczka kupiła sofę. Wraca do domu we wtorek – przeczytał.

– Nasz człowiek w Warszawie przesyła wiadomość – uśmiechnął się

z triumfem. – Buturlin jedzie do Petersburga. Wszystko toczy się według planu.

Młokos o imieniu Natalia uśmiechnął się do swojego oblicza w lustrze. Śmiało, z męską fantazją, objął stojącego obok siwowłosego młodziana i roześmiał się szczęśliwy.

– Kocham cię...– powiedział po prostu.

I pocałował Andrieja w usta.

Mężczyznom wolno więcej – śmiał się w duchu.

Andriej się zmieszał. Wielki anarchista, a czerwieni się jak sztubak. Sięgnął do kieszeni i wyjął sztuczne wąsy. Przykleił „towarzyszowi” nad wargą i docisnął kciukiem.

– Bracie – powiedział. Głos miał gęsty jak pop przed ikonostasem. – Teraz wszystko zależy od ciebie.

Natalia również spoważniała.

Tyle przegadanych nocy, marzeń i planów – pomyślała. – A teraz nadchodzi ta jedna chwila, chwila prawdy. Ile jestem warta?

Przytuliła Andrieja mocno. Po bratersku.

Wyszli na miasto. Stróż zamykał podwórko. Natalia przeszła obok niego jak po rozżarzonych węglach.

A jak pozna? – myślała ze strachem.

Ale dozorca podniósł głowę i omiótł ją niewidzącym spojrzeniem. Ot, dwóch mężczyzn. Częsty widok w jego kamienicy, gdzie młode praczki przyciągają stada samców.

Na ulicy Andriej uśmiechnął się z triumfem.

– Jesteś niewidzialna!

Przeszli kilka ulic. Ta dzielnica Petersburga była zamieszкана przez rzemieślników i robotników. Biednych, spracowanych ludzi. Po drewnianym bruku turkotały żelazne koła wozów. Chodnikami obok śmierdzących rynsztoków przemykali czynownicy powyżej dziesiątej klasy, chłopcy w zniszczonych kożuchach i brodaci popi. Andriej stanął przed drzwiami szynku. Od schodów prowadzących w dół zionęło gorzałąką, gotowaną kapustą i niemytymi ludzkimi ciałami.

– To tutaj? – Natalia nie była zachwycona.

Zeszli do piwnicy. Dziewczyna powoli, niepewnie.

Jak oni mogą chodzić, gdy mają tyle materiału w kroku? – pomyślała ze współczuciem.

Siedli przy stole, na którym kopcił oliwny kaganek. Obok na kontuarze leżały pokrojone ogórki i głowy ryby. Śmierdziały, aż skrecało kiszki. U właściciela suchego jak skórka chleba rzucona za piec zamówili

talerz blinów ze śmietaną. Siedli nad nimi i popijając wódkę z odkorkowanej butelki czekali wieczoru. Natalia paliła papierosy i mimo zaduchu była szczęśliwa. Czuła, że może przenosić góry.

– Teraz, gdy jesteś mężczyzną, musisz zachowywać się inaczej – Andriej upił łyk gorącej herbaty ze szklanki. – Musisz być bezwzględna.

Natalia stężała.

Czy potrafię?

Nie była pewna.

– Najważniejszy jest zeszyt Kibalczyca – mówił siwowłósy anarchista. – Musisz być gotowa zabić dla niego...

Natalia kiwnęła niepewnie głową. Popatrzyła na grubasa pod ścianą, który odłożył kapelusz na stół i łyżką młócił kaszę gryczaną z gara. Czy łzawiły mu z wysiłku.

– Mówiłeś, że nie będziemy zabijali bez potrzeby – zaprotestowała.

– Mówiłem... – Andriej uśmiechnął się anielsko. – I powtarzam. Ale gdyby Buturlin próbował ci przeszkodzić... masz to.

Podał jej pod stołem nóż. Natalia poczuła w dłoni zimną stal. Obłą rękojeść sprężynowca. Ukryła go w rękawie i przeniosła do kieszeni spodni. Ciężył jej, jakby ważył siedem pudów.

Przypomniała sobie słomianą kukłę, którą uderzała miesiącami pod okiem Andrieja, ćwicząc śmiertelne ciosy. Znała położenie tętnic w ciele. Wiedziała, pod które żebro uderzyć, żeby przebić serce.

Może to wszystko tylko mi się śni? – pomyślała z nadzieją.

Lecz nie. Wiedziała, że koszmar jest jawą. Jej życiem. Życiem przerażonego narodu wybranego jęczącego pod knutem tyrana.

– Zrobię to – szepnęła.

W gardle jej zaschło.

Zamoczyła usta w wódce.

Rozkasłała się.

Andriej walnął ją w plecy. Po bratersku. Roześmiał się. Takim go zapamiętała. Twarz rozjaśniona wewnętrznym światłem. Kurze łapki wokół oczu. Wyszczzerzone, żółknące zęby. Jej przyszywany brat. Platoniczny kochanek. Człowiek, który nadał kształt jej dziewczęńskim snom.

Gdy noc objęła mocno śpiący Petersburg, dorożką pod szynk zajechał Jurij Godlieb. Trzeci z wtajemniczonych w plan napadu na pociąg. Zażywny grubasek w przyciasnej marynarce. Z kołnierzem przysypanym łupieżem. Syn popa. Andriej objął go mocno na powitanie. Szybko, przelotnie pocałował w usta. Panowie się zaczerwienili.

Męska miłość gorsza niż grzech – pomyślała Natalia. – To też musimy zmienić.

Jurij był kochankiem Andrieja. W gorące, namiętne noce śnili o nowym, lepszym świecie. Tryskając nasieniem marzyli, że użyźniają glebę, na której wyrosnie.

Pojechali turkocącym wozem na przedmieścia. Natalia trzymała na kolanach worek z ekwipażem.

– Na krucyfiks – wołał Jurij – Noc piękna, aż strach!

I pogwizdywał religijne melodie. Napięcie eksplodowało w nim nerwową wesołością.

A co, jeżeli mój niedawny upadek był ostrzeżeniem? – pomyślała dziewczyna. – Może trzeba się wycofać?

Ale wiedziała, że zaszła za daleko. Nie może zawieść Andrieja. Nie zwykła zdradzać ludzi, którzy okazali jej serce.

Siwowłosy prowodyr wyczuł tę niepewność. I uścisnął mocno jej dłoń.

Wóz jechał wolno, bo całkowite ciemności rozświetlała tylko naftowa lampa kiwająca się na dyszlu. Wokół nich ciągnęły się płoty, niskie drewniane baraki, bieda i ohyda upadłego miasta. Wielki Sankt Petersburg, serce imperium, zamieniał się w cuchnąca gnojówkę wieś. Dalej były już tylko pola. Nieskończona przestrzeń zasłonięta nocą. Po dłuższej podróży przejechali z turkotem tory kolejowe. Tu Jurij zatrzymał powóz.

Natalia zeskoczyła na ziemię. Nadal czuła uścisk w żołądku. Obok niej stanął Andriej.

– Gotowa? – raczej usłyszała, niż dostrzegła anielski uśmiech towarzysza. Księżyc zniknął za chmurami. Wokół mrok jak w duszy cara. Jurij, kląc na konie, zawrócił z trudem na wąskiej drodze.

– Na krucyfiks! – zawołał. – Do szybkiego zobaczenia.

Zaśmiał się, gwizdnął, zaciął dwójkę koni i zniknął w ciemnościach. Tylko lampa migotała jak zabłąkany świetlik.

Zarzuciła worek na plecy, wcisnęła kaszkiet. Andriej był obok. Uścisnął ją czule. Jak kochanek.

– Tylko tobie mogłem zaufać – popłynęły z ciemności miłe jej sercu słowa. – Jesteś najlepsza.

Wszelkie wątpliwości zniknęły. Czuła to, co zawsze przed wejściem na linę. Największe skupienie. Absolutną pewność.

Najlepsza! – zaśmiała się w duchu.

Naprawdę w to wierzyła.

Ruszyła torami w kierunku Polski. Niedaleko była rzeka, nad którą zbudowano most. Wspięła się na przęsło i zastygła przytulona do metalu. Czekala.

Andriej został przy drodze. Wdrapał się na słup semafora i kawałkiem tektury zasłonił zieloną lampę. Potem zdemontował osłonę czerwonej. Jeszcze przywiązał kilka sznurków i był gotów. Nocny pociąg z Warszawy musi się tu zatrzymać.

Siedząca na moście Natalia zobaczyła, że semafor zaczerwienił się znakiem „stop”. Od rzeki ciągnęła wilgoć. Słyszała chlupotanie w szuwarach. Drżała z zimna i przejęcia. Do tej pory rewolucja była okrągłymi zdaniem. Entuzjastycznymi dyskusjami w ciepłych pokojach. Teraz stała się zimnym, nitowanym przęsłem rozpiętym w ciemnościach. A to zupełnie co innego.

Ale zanim strach zamienił ją w słup soli, zaczęło się. Wielka lokomotywa buchająca parą zwolniła przed rzeką. Pociąg wtaczał się na most w zgrzycie hamulców.

Ciotka wraca we wtorek – powtórzyła sobie słowa telegramu. Wtorek według żydowskiego kalendarza to trzeci dzień tygodnia. Zatem Buturlin jedzie w trzecim wagonie, licząc od lokomotywy. Gdy dach salonki błysnął w dole – akurat zza chmury wyrżał księżyc – skoczyła. Opadła miękko na nogi, podpierając się dłońmi. Położyła się na brzuchu, rozkładając szeroko ręce. Na razie była bezpieczna.

Pociąg nie stał długo. Gdy Andriej zobaczył, że skład minął most, pociągnął za sznurki i semafor znów rozbłysnął zielenią.

Siedział w rowie, gdy ekspres do Petersburga pognał w kierunku miasta.

– Niech twój anioł niesie cię na skrzydłach... – życzył dziewczynie z całego swojego anarchistycznego serca.

Potem wspiął się na semafor i odciął sznurki. Pierwsza zasada konspiracji. Jak najmniej śladów dla ochrony.

Gdy Natalia podnosiła się na kolana, on biegł już w kierunku Petersburga. Śladem dorożki Jurija.

Ekspres pędził, znacząc szlak snopami iskier. I kłębam. białego dymu rozpływającego się w zimnym księżycowym świetle. Wiózł zmęczonych, chrapiących, niczego nieświadomych pasażerów. Można by ich sprzedawać na targu jak barany.

Natalia powoli zbliżyła się do wywietrznika na środku dachu. Mroźny pęd powietrza przenikał do szpiku kości. Sięgnęła do przewieszzonego przez plecy worka i wyjęła linkę. Przywiązała do

metalowego komina luftu i tak zabezpieczona ruszyła w stronę krawędzi dachu.

Powoli, a wszystko będzie dobrze.

Wiatr targał jej ubranie i związane włosy. Kaszkiet zapobiegliwie schowała do worka. Tutaj nie musiała nikogo udawać. Męski strój był jej potrzebny tylko dla wygody. Włamywacze nie pracują w gorsetach i halkach.

Niech Buturlin kocha świeże powietrze – modliła się do Archanioła.

Niestety. Okna salonki były zamknięte.

Z duszą na ramieniu, trzymając się linki, zawisła głową w dół. Włosy uwolnione od rzemyka powiewały jak flaga. Szarpane pędem powietrza falowały wokół głowy. Pośliniła gumową przyssawkę i uderzyła w szybę. Wyjętym z worka szklarskim diamentem zakreśliła wokół niej koło. Z całej siły pociągnęła za rączkę. Szkło puściło. Aż krzyknęła z wrażenia. Na szczęście w turkocie kół jej okrzyk zniknął jak kamień rzucony w wodę. Włożyła rękę w wykrojony otwór. Udało jej się otworzyć okno od środka. Wciągnęła się na dach i teraz opuściła w dół nogi. Smagneły ją po tyłku witki rosnących przy torach krzaków. W odruchu paniki zacisnęła kurczowo palce na krawędzi dachu.

– Spokojnie – szepnęła. – Po prostu wejdź tam.

Szybko wsunęła stopy w szparę i naciskając ciężarem ciała na okno, opuściła je. Trzymając się linki, wsunęła się do wnętrza salonki.

Zawadziła o stolik i opadła na dywan. Hałas, który spowodowała, wydał jej się wielki jak zderzenie parowozów. Ale nic się nie stało. Nikt nie zaczął krzyczeć, nikt nie wezwał strażników. Sięgnęła do worka i wyjęła małą karbidówkę. W jej nikłym świetle rozejrzała się po salonce. Pokryte boazerią ściany przyozdobione były gobelinami wyszytymi w rustykalne sceny. Drzewa, pastuszkowie, nimfy. Na środku stał stół, a na nim opróżniona butelka whisky. Pod ścianą kozetka. Podeszła wolno. Buturlin w rozpiętym mundurze chrapał pod wełnianym kocem. Otwarte usta w nalanej twarzy wyglądały jak dół kloaczny. Czowała kwaśną woń przetrawionego alkoholu.

Tak wygląda władca Warszawy – pomyślała z pogardą. – Śmierdzący pijus. Mogę go załatwić jednym ciosem.

Sięgnęła do worka. Poczowała zimną rękojeść noża. Zastygła.

Wiedziała, że tego nie robi. Mordowanie śpiących ludzi to za dużo nawet dla absolwentki Petersburskiego Instytutu dla Dziewic. Wyjęła buteleczkę z eterem i chustkę. Wsadziła do kieszeni.

Zajrzała pod sofę, na półkę z bagażem. Uchyliła stojący w kącie

kufer. Wyrzuciła z niego ubrania. Obejrzała wszystkie kąty. Szukała coraz bardziej nerwowo.

Gdzie on to schował? – myślała ze strachem.

Zeszyt Kibalczyca zniknął.

Spocona usiadła na taborecie.

Archaniele, dlaczego nic mi się nie udaje? – Chciało jej się płakać.

Misterny plan opracowywany miesiącami brał w łeb przez jej gapiostwo.

Zaraz, zaraz – próbowała się uspokoić. – Natalio, dziewczyno kochana, gdzie byś schowała zeszyt tak ważny jak cesarstwo?

Patrzyła na chrapiącego Buturlina. Na jego cielsko potworne, jakby ktoś wepchnął krowę pod koc. Głowa leżała na wyszywanej złotą nitką poduszce. A spod poduszki coś... Ależ tak! Tam coś jest!

Zerwała się z taboretu i podsunęła latarenkę. Spod poduszki wystawała czarna skórzana teczka.

Serce jej zabiło. W ustach zaschło.

Archaniele – błagała. – Już Ty wiesz, czego potrzebuję.

Odstawiła światło i ostrożnie chwyciła krawędź teczki. Pociągnęła. Nic. Teczka ani drgnęła. Wielki łeb oberpolicmajstra przycisnął ją jak kowadło. Pociągnęła znów. Teczka wysunęła się odrobinę. W serce Natalii wstąpiła nadzieja. Szarpnęła mocniej. Już miała teczkę, już była bliska zwycięstwa, gdy śpiący coś wymamrotał. Odskoczyła o krok. Patrzyła przerażona, jak Buturlin obraca się na bok, jego wielkie ramię obejmuje poduszkę. Skórzana teczka znika pod wielkim cielskiem.

Cholera – warknęła w myślach. – Może powinnam zaszlachtować oberpolicmajstra jak prosiaka?

Przez chwilę nie wiedziała, co robić. Bała się użyć eteru. Nie wierzyła w jego skuteczność. Wyrzała przez okno. W oddali widać było światła. Pociąg zbliżał się do miasta. Jej czas się kończył.

W poczuciu ostateczności oparła dłonie na ramieniu Buturlina. Spróbowała przetoczyć go na plecy. Oberpolicmajster zaświstał, zamruczał i zmienił pozycję. Rożek teczki znów się pokazał. Gdy po niego sięgała, zobaczyła, że Buturlin się budzi.

To koniec – zawyła w duszy z rozpacz. – Już po mnie!

Oberpolicmajster otwierał zaropiałe oczy. Tarł twarz grubym łapskiem. Wracił do życia. Natalia w panice wyciągnęła buteleczkę z eterem. Wylała jej zawartość na chustkę i skoczyła na grubasa. Przetoczyła się po nim i błyskawicznie chwyciła go za szyję. Obejmując za kark, zatkała mu usta i nos chustką. Oberpolicmajster zachłysnął się parującym

eterem. Wciągnął go kilka razy, zanim zaczął walczyć. Nie wiedział, co się dzieje, ale czuł czyjeś ciało na sobie i chciał je zrzucić. Miotał się, wymachując na oślep ramionami. Wyglądało to, jakby potężny byk chciał zrzucić z siebie chudego jak patyk toreadora. Zwierz wierzgał, a biedny poskramiacz byków z całych sił próbował utrzymać się na jego grzbiecie. Pchła na słońcu. W końcu Buturlin osłabł. Z westchnieniem znieruchomiał.

– Skurczybyku – stęknęła Natalia. – Prawie mnie zmiażdżyłeś.

Wydostała się spod nieruchomego cielska i skoczyła do lampy. Zakręciła płomień. Wiedziała, że opary eteru tworzą z powietrzem mieszanekę wybuchową. Nauczyła się tego na wykładach Ciołkowskiego. Poza tym bała się, że do salonki wpadną żandarmi trzymający straż w korytarzu. Ale nic się nie wydarzyło. Widać wojacy się pospali. Po omacku podeszła do leżanki i sięgnęła po teczkę. Otworzyła ją. Serce jej załomotało. Zeszyt był tam.

– Dzięki, Archaniele – westchnęła.

Poklepała nieruchome ciało oberpolicmajstra.

– Żegnaj, marionetko... – szepnęła i podeszła do okna.

Czas był najwyższy. Pociąg właśnie zwalniał na przedmieściach. Tym razem o czerwone światło semafora zadbał Jurij.

Natalia wyśliznęła się przez otwarte okno, jak żmija. Na chwilę zawisała nad ciemnością. Skoczyła. Opadła na stok i potoczyła się po suchej, zeszłorocznej trawie. Przywarła do ziemi. Marzyła, żeby zostać tak na zawsze. Serce biło jej jak oszalały ptak skrzydłami o pręty klatki. W oddali niknął głos odjeżdżającego pociągu.

Na torach usłyszała kroki. To Jurij jej szukał.

– Na krucyfiks, dziewczyno – krzyknął na jej widok. – Anioły naprawdę cię kochają!

VI

Gabinet cara był wielki jak wnętrze cerkwi. Świece w wieloramiennych lichtarzach pod ścianami się paliły, mimo że dzień był jasny. Buturlin, w galowym mundurze, brzękając medalami, szedł po czerwonym dywanie ponury jak moskiewska zaraza. Z obrazów spoglądały na niego surowe twarze Romanowów. Oberpolicmajster był pewien, że słyszy głosy oburzonych przodków:

Nędzniku! – wołała Katarzyna I wyprostowana na koniu. – Jak śmiesz tu przychodzić po tym, co się stało? Bękarcie, wyskrobku!

Mikołaj I łypał zły jak stado os:

Cóż eś uczynił, łachudro! Miałeś w ręce broń straszną jak grzmot, miecz ognisty na pohańbienie wrogów cesarstwa, czyli świata całego! I dałeś sobie wyjąć z ręki jak dziecko zabawkę. Wstyd, sromota. Naprawdę, dawno się tak nie wkurzyłem. Może gdy ci durni Polaczkowie w 1831 zrzucili mnie z królewskiego tronu!

Nawet ojciec, Aleksander II, którego portret wisiał na samym końcu gabinetu, nad biurkiem, przy którym urzędował obecny car, patrzył ze smutkiem.

Synku... – szeptał – zawiodłem się na tobie... do pasania świń się weź, nie do polityki.

Buturlin czuł się pogwałcony. Bez zeszytu Kibalczyca był nikim. Zerem. Katorżnikiem, syberyjskim chłopem.

Powoli zbliżał się do wielkiego biurka, za którym jak Bóg Wszechmogący rozsiadł się car. Szedł jak na ścięcie.

Że też mnie dobudzono – myślał z żalem.

Gdy rano wymiotował na podłogę wagonu ekspresu Warszawa – Petersburg, przez chwilę miał nadzieję, że to skutek przepicia. Ale szybko przypomniał sobie nocną walkę. Zrozumiał, że go uśpiono. Zawył z wściekłości. Dziura wycięta w oknie i brak czarnej teczki dopełniły furii. Miał ochotę mordować. Ale teraz wolałby uciec, zaszyć się gdzieś u ujścia Newy, zaginać na moczarach, niż przyznać się przed swoim prześwietnym bratem, władcą Imperium Rosyjskiego, do porażki.

Psiakrew – dusza wyła w nim ze zgrozy. – Już po mnie!

Aleksander III, potężny mężczyzna, który dla krotchwili swoich dzieci łamał w dłoniach podkowy, podniósł się na widok wchodzącego. Rozłożył ramiona. Twarz miał opuchłą od złego jedzenia, ale usta rozciągnął w przyjacielskim uśmiechu.

– Bracie... – powiedział ciepło, jakby chciał go przytulić do piersi.

Buturlina zmroziło.

Udusić chce, swołocz...

Dla pewności stanął za biurkiem i złożył głęboki ukłon.

– Wa... Wasze Winicziestwo... zaszczyt to dla mnie ogromny...

W oczach władcy dostrzegł figliki.

Cieszy się, że mnie upokorzy – zaperzył się oberpolicmajster.

– Niki... – twarz cara była jak słońce w lipcu. – Witaj w domu...

Podszedł i ucałował brata w policzki. Na ramionach włodarza Warszawy włosy stanęły dęba.

Musi być ze mną rzeczywiści źle... – myślał strachliwie. – Zaraz wbije mi nóż w plecy.

Aleksander III zdawał się nie dostrzegać jego zmieszania.

– Twój widok cieszy nasze oczy... – rzekł.

Buturlin zadrżał jak osika.

Usiedli przy stole pod oknem w fotelach wywiezionych z Luwru w czasie królobójstwa we Francji. Car uśmiechnął się po raz kolejny.

– Z czym przybywasz?

Gdyby oberpolicmajster miał pistolet, strzeliłby sobie w skroń.

– Wiozłem Wa... Wam władzę nad światem... – wydukał. – Ale... napadnięto mnie... O... ooo... obrabowano...

Chciało mu się płakać. Wiedział, że jest skończony.

A car po prostu upił łyk kawy o barwie gruzińskiej ziemi, zagryzł piernikiem i spojrzał na brata z czułością.

Patrzy na mnie z czułością – myślał oberpolicmajster. Który z nas zwariował?

Łyknął koniaku. Car pokiwał głową.

– Rozumiem twoją zgryzotę, bracie, ale nie smuć się niepotrzebnie. Odzyskamy notatki Kibalczyca.

Oberpolicmajstrowi oczy wyszły na wierzch. Czy słuch go myli? A może śni? Jego wielka tajemnica, sekret, który pieścił w duszy jak małż perłę, jawny niczym plotka na targu?

– Ale skąd Wa... Wasza Miłość wie?

Aleksander III uśmiechnął się zadowolony, jakby spletał niezłego figla. Przez chwilę bawił się filiżanką z miśnieńskiej porcelany. W jego potężnej łapie wydawała się delikatna jak skrzydła motyla. W końcu zlitował się, odstawił ją na stół i rzekł:

– Hrabia Tołstoj, którego uczyniłem ministrem spraw wewnętrznych, zobowiązany jest informować mnie o wszelkich zagrożeniach. A dzisiejszej nocy członkowi mojej rodziny groziło wielkie niebezpieczeństwo. Nic dziwnego, że hrabia osobiście dopilnował śledztwa. Zanim dotarłeś do pałacu, jego ludzie wzięli na spytki Ciołkowskiego. Wiem wszystko o twoich planach. I pochwałam. Dobro cesarstwa leży ci na sercu. Brawo!

Buturlin poczuł, że jego piersi ogrzewa nurt ciepłej krwi. I nie koniak był tego przyczyną. Brat docenił go. Okrutny, nieczuły braciszek, zimny jak wody Komyły. Nareszcie! Pierwsze dobre słowa, które od niego usłyszał. Pod powiekami szczypały łzy.

– Chcia... chciałem dobrze... Ale ktoś zdradził – jęknął.

Car podsunął bratu filiżankę kawy.

– Znajdziemy go... – uśmiechnął się. – Tym się nie kłopotcz... hrabia

Tołstoj wyłapie wszystkich nihilistów.

Buturlin się rozluźnił. Czegoś takiego się nie spodziewał. Aleksander III żywi ludzkie uczucia. Prędzej uwierzyłby w białe niedźwiedzie na ulicach Warszawy. Widać, cuda się zdarzają. I dla niego – odrzutka, bękarta, wyskrobka – nadeszła sprawiedliwość.

– Wa... *Wasze Winicziestwo*... – pozwolił sobie na śmiałość. – Zaraz po powrocie do *Priwislenia* rozpocznę własne śledztwo. Dopełnię wszelkich starań, aby sprawa Kibalczycza została dokładnie wyjaśniona, a wszyscy wi... winni ponieśli karę. Ta straszna broń... tylko car Wszechrosji może mieć takie diabelstwo. Tylko prawdziwemu władcy należy się kolec skorpiona.

Aleksander III uśmiechnął się pobłaźliwie. Właściwie lubił przesadę.

– Kochany – wziął go za ramię – ty się teraz tym nie kłopot. Inne mam dla ciebie zadanie.

Delikatnie zmusił go do wstania i pociągnął za sobą. Ruszyli na spacer po pałacu. Mijali rzeźby z alabastru, obrazy w złotych ramach, żyrandole migoczące łzami kryształów. Otwierały się przed nimi kolejne drzwi z nieskończonego szeregu barwnych pokoi. Strażnicy salutowali, odźwierni we francuskiej liberii zamykali za nimi skrzydła amfilady.

Cud... – myślał Buturlin odurzony koniakiem na pusty żołądek. – Odkąd ojciec umarł, będzie już ze trzy lata, nie miałem tu wstępu. A teraz sam car jak pokojowiec ciągnie mnie po swoich intymnych zakamarkach... ”.

Był zachwycony. Czuł, że jego pech się skończył. Cesarz nareszcie przejrzał na oczy. I dojrzał w nim sprzymierzeńca. Najwierniejszego z wiernych.

Zatrzymali się w komnacie ozdobionej złotem i bursztynem. Słońce wpadało przez otwarte okno i więzło w wyjątkowej piękności fryzach. Buturlin patrzył z zazdrością.

– Bracie, widzę, że jesteś czuły na piękno... – odezwał się car.

Oberpolicmajster zachnął się, zawstydzony, przyłapany na pożądaniu.

– Tru... trudno oderwać od tego oczy.

Wskazał na smukłe ciało wyrzeźbionej w bursztynie syreny. Jej kobiece wdzięki migwały bez osłony w słonecznych blaskach.

Car się roześmiał. Klepnął z rozmachem brata po plecach.

– W Petersburgu też słyszeliśmy to i owo... Nie przepuścisz żadnej polskiej nimfie. Brawo, braciszku!

Buturlin roześmiał się niepewnie. Wiedział, że car nie pochwała

cudzołóstwa. W Chrystusie i rodzinie widział zbawienie dla Rosji. I mimo nieograniczonych pokus, na jakie narażała go wyznaczona przez opatrność rola, pozostaje wierny małżonce, bogobojnej Dagmarze Marii Fiodorownej. On, Buturlin, bardziej wdał się w ich ojca, Aleksandra II, który słynął z junactwa.

– Krew nie woda... – śmiał się dalej car.

Buturlin zaczynał czuć niepokój. Gwałtowna metamorfoza brata była podejrzana.

Czy igra sobie ze mną, aby za moment strącić w przepaść? – pomyślał zatrwożony.

Lecz Aleksander II nie miał złych zamiarów. Nie teraz. Potrzebował go. Tam, w Warszawie.

Podprowadził brata do fotela z wygiętym oparciem. Podobny miał Ludwik XVII. Posadził.

– Spójrz – wskazał ręką nieocenione bogactwie zdobiące komnatę. – Złoto, rubiny, cenna żywica zastygła w kamień przed wiekami. To na każdym robi wrażenie. Czy przyszedł na świat w kurnej chacie, czy w łożu władcy imperium

Buturlin pokiwał zgodnie głową.

Car chwilę chodził wzdłuż ścian z założonymi w tył rękami. Oberpolicmajster wodził za nim wzrokiem.

– Muszę ci zawierzyć pewien sekret... Rzecz, która leży mi kamieniem na sercu... – Car stanął na wprost niego. Był wielki jak góra. Buturlin, który nie należał do ułomków, poczuł się niepewnie.

– Źle się dzieje w naszej ojczyźnie, występki łeb podnosi, niecnota triumfuje – mówił władca. – Ginie szacunek dla spraw świętych, a wiecznych. I nie o nihilistach mówię, tych szczurach podłych, którzy ojca naszego, świętej pamięci Aleksandra Mikołajewicza życia pozbawili; nie o modach zachodnich, które truciznę liberalizmu sączą do umysłów prostaczków, nie o czarnej rzeszy proletariuszy, którzy lęgną się w trzewiach fabryk, okrutni i fałszywi, roją o światach nowych, koniec naszego porządku zapowiadając; więc nie o nich wszystkich rzeczę – którzy jako wrzód na ciele mateczki naszej, Rosji... Nie o nich. Bo tylko lud prosty, cichy, a bogobojny liczy się na tym najpodlejszym ze światów. I o niego dbać trzeba, bo dusza w naszym narodzie czerstwa, piękna i niezwykła. Gdy ją uratujemy, przed upadkiem powstrzymamy, imperium wiecznie trwać będzie.

Buturlin patrzył zadziwiony, jak twarz cara promienieje wewnętrznym światłem. Jakby prorokował, jakby był jednym z tych

świętych mężów, którzy po wsiach odległych chodzą z worem i kosturem, o zbawieniu bajając.

Prawdą jest, że w Rosjaninie dusza na pierwszym miejscu – pomyślał. – Choćby i u cara.

Aleksander zamilkł, jakby zawstydzony wybuchem żarliwym. Twarz w dłoniach ukrył. Gdy znów ją ukazał, już był sobą. Gwałtownikiem i prostakiem. Buturlin odetchnął.

– Tyle że głupi ten nasz lud ogromnie. – Car wydał usta. – A z głupotą walczyć się nie da. Oswoić ją trzeba.

I wtajemniczył brata z nieprawego łoża w swój plan. Otóż niedawno, bo przed rokiem, w jego obecności odbyło się w Moskwie uroczyste poświęcenie świątyni Chrystusa Zbawiciela. Monumentalny ten dom boży, jak każde rosyjskie dziecko wie, budowany był przez pół wieku jako wyraz wdzięczności za uratowanie Rosji przed nawałą tego francuskiego żaboożercy i dupojebcy Napoleona. Trzech carów – Aleksander I, brat jego, Mikołaj I oraz syn jego, a ich ojciec, Aleksander II – dokonało żywota, zanim dźwignięto w górę wielką jak góra świątynię. A wielkość jej przerażająca i na chwałę cesarstwa ustanowiona. Trzydzieści pięter patrzy na lud swój wierny, ściany grube na pięć arszynów, z czterdziestu milionów cegieł postawione. Na szczycie kopuła wielka niczym piramida blachą miedzianą bita, a na niej krzyż trzypiętrowy.

Wnętrze tego przybytku pańskiego zachwyty i lęk wiernopoddanych budzi. Oświetlone świecami z trzech tysięcy świeczników w murach swych pomieścić może kilkanaście tysięcy dusz kontaktu ze Zbawicielem spragnionych.

Ale to mało. Wstrząs, jakiego doznają ludzie prości na widok tej monstrualnej cerkwi, strach i chęć ukorzenia się w pyłę; radość i wdzięczność, że Bóg pozwolił im być częścią najwspanialszego z narodów – to wszystko większe być musi. Musi być ogromne jak niezmierzone są białe pustynie Syberii, jak niezgłębione odmęty Bajkału i niepojęta moc rodu Romanowów. Bo tylko w tym ratunek, tylko metafizyczne przerażenie ocalić może lud przed zgnilizną, która toczy jego duszę, a cesarstwo przed zagładą.

– I znalazłem sposób. – Car zmęczony wykładem przełknął ślinę. – Więcej złota...

Buturlin uśmiechnął się niepewnie. Nie rozumiał.

– To proste. Kopuła miedziana na takiej świątyni to pomyłka. Oddaję hołd moim wielkim poprzednikom... Lecz nie dotarli w swoim dążeniu do końca. Nie zdobyli się na zwieńczenie dzieła. Trzeba kopułę pokryć

złotem. Tylko jarząca się w świetle dnia złota góra nad miastem naprawdę poruszy rosyjską duszę.

Aleksander III zamilkł. Oto wyraził swoje credo. Mit władzy. Nic tu nie było do dodania.

Cisza trwała długo. Car patrzył bez uśmiechu.

– Zastanawiasz się pewnie, po co ci to mówię?

Buturlin skwapliwie kiwnął głową. Rozumiał: bat, kajdany, Sybir. Zgruchotany kręgosłup, strzał w tył głowy. To przemawiało do jego duszy. W tym widział przyszłość mocarstwa. Ale metafizyka złota? Za lekkie to było... za dęte...

Car przysunął sobie fotel i usiadł. Spojrzał z przyjemnością na złoto bursztynowy wystrój komnaty. Bogactwo było dla niego jak komunია. Klepnął się z rozmachem w uda.

– Dzięki Bogu, ojciec nasz sprzedał Alaskę.

Niepokój Buturlina rósł. Alaska kojarzyła mu się z Eldorado. Krainą złota. Jaka korzyść dla cesarstwa z tego, że ojciec ich, Aleksander III, nie mogąc utrzymać władzy na zimnym skrawku dalekiego kontynentu oddał go przed laty za bezcen tym cholernym jankesom?

Car z rozbawieniem patrzył na pomieszanie przybysza z *Priwislenia*.

Rozmiękcza go ta woda, oj rozmiękcza. Umysł jak rzeszoto. Ale to już niedługo... ostatnie zaśpiewy ptaszka – myślał.

– Dwadzieścia lat niespełna minęło, odkąd świętej pamięci ojciec nasz odsprzedał Amerykanom Alaskę za siedem milionów dolarów z małym ogonkiem – przypomniawszy historię z 1867 roku. – Czy wiesz, co się stało z tymi pieniędzmi?

Buturlin wzruszył ramionami. A niby skąd miał wiedzieć? Był tylko ubogim cesarskim bratem, głuptakiem wysłanym na prowincję.

– Nigdy nie dotarły do naszego skarbca – ciągnął car. – Ojciec pożyczył całą sumę Franciszkowi Józefowi. Tamten akurat zakładał Austro-Węgry, potrzebował dużych sum na utrzymanie porządku. Wziął dolary na niski procent, pod warunkiem że gdy przyjdzie czas, odda w szczerym złocie.

Buturlin nadstawił ucha. Temat był mu bliski. Sam miał kolosalne długi.

– Prawdę mówiąc, ojciec nas zajęty wojną z Turcją i ukrywaniem się przed zabójcami, którzy ścigali go po całej Europie, zapomniał o pożyczce – wyjaśnił Aleksander. – Ale rzetelność austriacka jest przysłowiowa. Franciszek Józef oddaje długi. Niedługo wyśle do nas przesyłkę wartą ze dwadzieścia milionów rubli.

Oberpolicmajster przełknął ślinę. Ledwo obejmował rozumem taką sumę. Sam rocznie na hulanki i wyścigi przepuszczał nie więcej jak dwadzieścia tysięcy.

– To będzie jakieś siedemset pudów złota, może więcej. – Car mówił o tym z taką nonszalancją, jakby tyle ważyły jego spinki do koszuli.

Buturlinowi stanęło serce. Z całą mocą odczuł niesprawiedliwość losu. Przecież to on mógłby teraz rozprawiać o górach złotego kruszcu. On mógłby od niechcienia rozważać, czy pokryć nim dachy cerkwi, czy bruk przed Pałacem Zimowym. A może kupić wszystkie kurtyzany świata i zamknąć się z nimi w Twierdzy Piotropawłowskiej?

Aleksander III nie był świadom uczuć targających bratem.

– Jesienią w Warszawie urządzam zjazd sojuszu trzech cesarzy – mówił. – Przybędą jak zwykle Franciszek Józef z Wiednia i Wilhelm I z Berlina. O przyszłości Europy rozprawiać będziemy. A dokładniej o tym, jak sobie do gardeł nie skakać, gdy Anglicy i Francuzi szczują nas na siebie i jak hieny czyhają, żeby coś z naszych ziem uszczknąć.

W złości uderzył pięścią w dłoń. Nienawidził tych zachodnich psów. Gdy Bóg da, utopi wszystkich w ich własnych odchodach.

Sapnął i wrócił do wyjaśnień.

– Gdy monarchowie pojawią się w Warszawie, specjalny pociąg z Wiednia przywiezie złoto. Chcę, żebyś wszystkiego dopilnował.

Nareszcie Buturlin poszedł po rozum do głowy. Oto car obarczył go odpowiedzialnym zadaniem. On, Nikołaj Aleksandrowicz Buturlin, oberpolicmajster Warszawy, jest niezbędny wielkiemu władcy. Ma ochraniać złoty pociąg. A zatem wszelkie strachy, że jego dni są policzone, że dokona żywota w chutorze u granic Mongolii, mogą się rozwiać w złotej mgłę. Niech żyje Alaska i jej bogactwa!

Zerwał się na równe nogi i pokłonił.

– Jak o... o... oka w głowie! – wystękał. – Wasza Miłość... jak oka... w... w... w...

Car się uśmiechnął. Wiedział, że wzmianka o złocie wzbudzi podniecenie brata. Mało kto potrafi oprzeć się czarowi tego kruszcu. Na pewno nie taki utracjusz, hulaka i birbant.

– Jesteś mi potrzebny w *Priwislieniu* – rzekł uroczyście. – Kraj to dziki, ludzie nieprzychylni... Niech ktoś z Romanowów czuwa nad złotem, które ma służyć mateczce naszej, Rosji...

Ujął Buturlina za łokieć i delikatnie popchnął w stronę drzwi.

– Bracie – rzekł. – W twoje ręce składam przyszłość cesarstwa.

Pożegnali się i oberpolicmajster wyszedł. Nie. Popłynął. Prawdziwie

lewitował nad marmurową posadzką, z pół łokcia powyżej ziemi. Sunął gnany wiatrem błogosławieństwa.

W jego duszy grały surmy niebiańskie. Z sercem przepełnionym radością mijał przepyszne sale balowe; mknął przez mroczne zakamarki pomieszczeń dla służby, królestwo złodziejskich lokai, cwanych pokojowców i sprzedajnej kuchty, szedł na podłogach marmurowych, ceglanych i wyłożonych dębina. Wędrował, podziwiał, zbaczał z drogi. W niekończących się amfiladach gabinetów, korytarzy i pokoi zapełnionych meblami pamiętającymi Piotra Wielkiego; wśród mieniących się bogactwem ścian, stiuków, żyrandoli, pośród okien zdobionych witrażami nie zdawał sobie sprawy, że błądzi. Krąży w kółko, oszołomiony jak puchacz w dzień.

Mógłby tak wędrować po Sąd Ostateczny, ale zatruty eterem organizm, podrażniony carską kawą odczuł potrzebę oczyszczenia się. Zaczepił pierwszego z brzegu lokaja.

– Gdzie tu się wy... wysrać mogę? – zapytał z właściwą sobie bezpośredniością.

Zagadnięty sługa ubrany w zielony frak i żółtą kamizelkę podprowadził go wąskim korytarzem przed pokój, gdzie zwykle dawano upust potrzebom ciała. Na półkach stały tam bogato zdobione urny, a przestrzeń dzieliło kilka płóciennych zasłon, dzięki którym defekujący mieli zapewnione minimum prywatności. Służący oddalił się dyskretnie. Buturlin złapał za klamkę i chciał pchnąć uchylone już drzwi, gdy usłyszał własne imię wymówione z wysiłkiem przez kogoś oddające stolec.

– Wasza Wysokość – pytał skrzeczący głos między stęknieniami – ten Buturlin... Czy Wasza Miłość ma zamiar osobiście... ukręcić mu łeppek?

Dwa męskie głosy zarechotały.

Carski bękart zmartwiał. Rozpoznał głos brata. Drugi należał do hrabiego Tołstoja, przełożonego żandarmerii w cesarstwie.

– Wszystko w swoim czasie, drogi Dmitriju Mikołajowiczu. Prawdą jest, że już dawno przeznaczyłem kochanego braciszka do odstrzału. Ale nastąpi to dopiero po wizycie trzech cesarzy w stolicy *Priwislenia* jesienią.

W tle przemowy dało się słyszeć brzęk strumienia moczu uderzającego o porcelanowe ściany urny. Kuśka cara spisywała się bez zarzutu. Oberpolicmajster wstrzymał oddech. Czuł, jak po karku spływa mu pot. Tyłek rozsadzał ból.

– Nie mogę w tak ważnym dla mnie czasie zmieniać człowieka

odpowiedzialnego za bezpieczeństwo – ciągnął baryton. – Buturlin, jakikolwiek by był, na swojej robocie się zna. A potem oddam go w twoje ręce.

Buturlin usłyszał wdzięczny skrzek hrabiego Tołstoja.

– Już mnie świerzbią ząbki na tę przekąskę.

– Uczyń z nim, co chcesz, ale nie zabijaj – polecił car.

Podwójny rechot dopełnił złowieszczą wróżbę.

Oberpolicmajster olbrzymią siłą woli wciągnął stolec do kiszki. Czuł, że w spodniach ma ogień. Kręciło mu się w głowie, w płucach brakowało powietrza. Ruszy w głąb korytarza, byle dalej od smrodu, od zdrady.

Zataczał się między ścianami. Błądził. W głowie brzęczało zdanie: „Do odstrzału... do odstrzału” Teraz Pałac Zimowy objawił mu się tym, czym był w rzeczywistości. Wielką pułapką. Kazamatami bez wyjścia. Przedsionkiem piekła. Stracił poczucie kierunku. Biegł, zawracał, potykał się. Setki świec rzucały drapieżne cienie. Ciemne korytarze nie chciały go wypuścić. Z mrocznych zakamarków patrzyły martwe oczy robotników, którzy zginęli tu po wielkim pożarze w 1837 roku. Chodź – wabiły głosy. – Odpoczniesz... u nas zimno i spokój. Mikołaj I w okrutnym zadufaniu rozkazał w rok odbudować zwęglony pałac. Aby ściany schły również zimą, w salach palono ogień. Biedni ludzie, których zagnano do niewolniczych prac, płonęli od gorąca, okładali czapki lodem. Na próżno. Ponad dwadzieścia tysięcy z nich nie przetrwało tej zimowej kaźni. Korytarze pałacu były cmentarzem. Miastem umarłych. Buturlin błądził po nich przerażony.

– Za... za... zabić mnie chce, zakatować... okrutnik... – mamrotał. – Nie, nie... rozkazał swojemu psu, żeby mnie oszczędził, a to oznacza los jeszcze gorszy, lo... lo... lochy, kazamaty, Syberię...

Zauważył, że strażnicy patrzą dziwnie na niego, jakiś chłopiec w białym kitlu, pewnie pomocnik kuchenny, podszedł bliżej, pomoc ofiarowując. Oberpolicmajster opanował się, czapkę, co ją w rękę gniótł, na głowę wcisnął, wyprostował się.

– Zje... eżdżaj... – warknął do chłopaka.

Równym krokiem ruszył w kierunku wyjścia.

W duchu wyzywał się od najgorszych.

Jak mogłeś być tak naiwny? Nabrać się na parę gładkich słówek? – syczał w myślach. – Przecież to car, zimny gad, krokodyl, co pożera własne młode.

Był zły na siebie. Miał ochotę bić się, szarpać za włosy, rugać. Tak dał się podejść! *Durak!*

Tuż przed wyjściem nie wytrzymał. Puścił ciepłą, wodnistą strugę. Pocięła po nodze do butów.

VII

W mieszkaniu Andrieja było siwo od papierosowego dymu. Zebrani w pokoju mężczyźni kurzyli skręty z machorki. Gorycz szczypała w oczy. Był Jurij, syn popa, ukochany Andrieja. Obok niego krępy Wołodia zwany Czarnym, a to ze względu na zarost i wygląd diabła. Kiedyś student uniwersytetu, dziś wędrowny sprzedawca Biblii i agitator anarchizmu. Wysoki i wiecznie ponury Cyryl Nobel, specjalista od materiałów wybuchowych. Pierwszą bombę skleił w dzieciństwie. Posłał z jej pomocą do diabła ziemianina, który przeleciał jego matkę, chłopkę. Wypachniony subiekt Kiejdanowicz w modnym surducie, o jasnych włosach, z monoklem w oku. Jedyne w tym towarzystwie posiadacz cylindra. Fascynat socjalistycznych komun, zwłaszcza obietnicy wspólnych żon. Obecnie bezrobotny, utrzymujący się dzięki pomocy pewnej starszej, acz namiętnej mieszczi. Hieronim Wasal, uczestnik Komuny Paryskiej, gdzie nauczył się mordować gołymi rękami. I kilku innych, wśród nich student Polak z petersburskiego uniwersytetu, żyjący z handlu naftą Ormianin i trzech nieortodoksyjnych Żydów. Grupa wyznań różnych, różnych wiar – prawosławni, protestanci, ateści. Zwolennicy Bakunina, Marksa, Darwina. Wszyscy gotowi na wszystko.

Siedli w pokoju, na czym kto mógł. Na krzesłach, na łóżku, na podłodze. Siedzieli gęsto, podnieceni chwilą, spoceni. Nawet dym nie tłumiał męskiego zapachu. Andriej stał pod ścianą i stamtąd patrzył na przybyłych. Młode, zdecydowane twarze, oczy rozmarzone, serca gorące. Kwiat rosyjskiej młodzieży. Od miesiący urabiał ich dusze. Lepił jak wosk z pragnień, kompleksów, pożądań. Dziś nadszedł dzień próby.

– Bracia moi... – zaczął powoli. Głos miał cichy, ale dźwięczny. – Świat jest zły... świat trzeba zmienić...

– Tak! – wrzasnął student Polak.

– Gorąca krew... – Andriej pokiwał głową. – Rosja, nasza mateczka, cierpi i kona pod knutem barbarzyńcy. Woła o ratunek. Lecz znikąd pomocy. I tylko my, ludzie zdecydowani na wszystko, dusze przepełnione odwagą, serca ofiarne – możemy coś zrobić. Podpalić lont...

W mieszkaniu na rogu Jamskiej i zaułka Kuzniecznego spiskowcy zabuczeli, podnosząc pięści w górę.

– Tak, tak... na pohybel carowi! – rozległy się okrzyki.

Andriej z uśmiechem uciszył zebranych.

– Ściany mają uszy, a już na pewno stróż domu, który bierze pensję od ochrony. Miejcie to na uwadze. Wezwałem was, bo czas się wypełnił. Mamy już wszystko, by zadać cios w samo serce systemu.

Odwrócił się w stronę sypialni i zawołał:

– Możesz wejść.

Klamka poruszyła się, drzwi skrzypnęły i w progu stanęła Natalia. Miała na sobie fioletową suknię z bufiastymi ramionami i dużym dekoltem, na głowie mały kapelusz z woalką. Przez łokieć przewiesiła torebkę z aksamitu na srebrnym łańcuszku. Mogła wrócić do ponętnej kobiecej postaci, bo u Andrieja trzymała swoje ubranie.

Weszła do salonu i zmrużyła oczy, bo szczypał ją dym. Z przyjemnością odnotowała zdumienie na męskich twarzach.

– Kto to? – krzyknął ze złością Ormianin, który połowę życia spędził na zesłaniu. Wszędzie węszył agentów.

Natalia czuła, że serce bije jej szybko. Poszukała wzroku Andrieja. Ten uśmiechem dodał jej odwagi.

– To moja... siostra – wyjaśnił.

Zdumiała się. Ale nie zaprotestowała. Czyż nie byli duchowym rodzeństwem?

Ktoś zagwizdał z uznaniem, ktoś chrząknął znacząco.

Andriej uciszył zebranych wzrokiem.

– Kilku z was zna Kibalczyca... – zaczął. – Naszego towarzysza, którego konstrukcji bomba rozerwała Aleksandra II nad kanałem Gribojedowa. Złapany dwa tygodnie po zamachu został skazany na śmierć. Lecz wyroku nie wykonano. Osadzony w *tiurmie* warszawskiej, opracował tam plany potężnej broni. Od dawna ludzie marzą o czymś takim. Tym z nas, którzy studiowali, może powie coś słowo „rakiet”. Już starożytni Chińczycy próbowali wykorzystywać rakiety do straszenia przeciwnika. A Anglicy walczyli nimi z Napoleonem pod Lipskiem. Ponad dwieście lat temu polski inżynier wojskowy Kazimierz Siemienowicz napisał w Amsterdamie wielkie dzieło *Artis Magnae Artilleriar pars prima*. Przez wieki była to biblia wszelkiej artyleryjskiej wiedzy. On pierwszy opracował ideę skutecznej broni rakietowej. Opisał, że musi składać się z kilku korpusów, które po wypaleniu odpadają od całości. On zaproponował deltowy kształt stateczników. To zapewnia, że rakietę leci dokładnie tam, dokąd chcemy. Jednak do tej pory konstrukcje były prymitywne. Raczej fajerwerki niż bomby. Kubalczyca to zmienił. Opracował wspaniałą broń przyszłości. Na miarę XX wieku. Można nią

przenosić wielkie ładunki wybuchowe na ogromne odległości. Można zbombardować odległe miasta. Obce państwa. Ale można też... – zawiesił głos, pewien efektu – zabić nią cara.

Uśmiechnął się. W pokoju słychać było wstrzymywane oddechy. Wyobraźnia rewolucjonistów pracowała. Nikt nie śmiał przerywać pięknej wizji.

– Można zabić nawet trzech carów... – dodał, powiększając oszołomienie. – Jesienią w Warszawie podczas spotkania Franciszka, Wilhelma i Aleksandra...

– Ale jak? – Cyryl Nobel, znawca nitrogliceryny, stęknął orgiastycznie. – Kubalczych gnije za kratami. Nie mamy planów, rysunków, obliczeń.

Andriej spojrzał na niego poważnie.

– Kubalczych nie żyje...

Nobel złapał się za głowę

– Jezu... Taki talent... Niech ziemia pochłonie tych drani! Wszystko na nic.

Siadł na ziemi i zaczął się kiwać jak dzieci w sierocińcu. Kubalczych był jego mistrzem.

– Bracia... – głos Andrieja był znów słodki jak migdały w miodzie. – Zmarł towarzysz naszej rewolucyjnej walki. Uczcijmy go chwilą milczenia.

Wszyscy wstali i każdy pomodlił się w duchu do swojego boga. Dla wielu miał on na imię nienawiść.

Jednak śmierć zawsze ustępuje przed życiem. Gdy chwila rozpacz minęła, Andriej podszedł do Natalii i wziął ją za rękę. Stała obok niego.

– Otwórz torebkę – poprosił.

Natalia w milczeniu, świadoma napięcia, jak w cyrku na linie, rozpięła niewielką atłasową torebkę z kwietnym haftem. I wyjęła z niej zielony zeszyt.

– Kubalczych zdołał przed śmiercią dokończyć swoje wspaniałe dzieło – oznajmił triumfująco Andriej. – Imperialne psy ostrzyły sobie zęby na ten wynalazek. Lecz nie mogłem pozwolić, aby niszczycielska broń dostała się w ręce cara. Dzisiejszej nocy Natalia wykradła plany oberpolicmajstrowi Warszawy Buturlinowi. I zapewniam was, panowie, dokonała tego w mistrzowski sposób. Żaden z nas nie dałby rady...

– Ho, ho... – rozległy się słowa uznania.

Cyryl podskoczył i wyciągnął niecierpliwie rękę.

– Pokaż... – chciał wyrwać zeszyt Natalii.

Andriej był pierwszy.

– Chwileczkę... – przystopował Nobla. – Wszystko w swoim czasie. Jeszcze niejedną noc spędzisz nad tymi zapiskami...

Cyryl podenerwowany cofnął się pod okno.

Andriej zwrócił się do gromady towarzyszy. Machał im zeszytem przed oczami.

– Nie mogłem wcześniej zdradzić wam swoich planów, wybaczcie. Im mniej osób o nich wie, tym lepiej dla sprawy.

– Nie ufasz nam? – groźnie zapytał Polak.

Andriej uśmiechnął się jak do dziecka.

– Nie wiesz ty, jakim potworem jest ochrana? Wszędzie ma swych szpicli, wszystko wywęszy. Szepczesz coś w tajemnicy ukochanej, a agenci słyszą. Już biegną z kajdanami.

– A więc nie ufasz! – zaczepnie stwierdził polski student.

Andriej rozłożył bezradnie ręce.

– Miałem kiedyś przyjaciela – mówił powoli, z rozmysłem. – Mieszkał w kamienicy nad Newą, a tak nieszczęśliwie, że obok fałszerza pieniędzy. Gdy ochrana wtargnęła do domu, aby zaareztować fałszerza, gdy rozległy się okrzyki, strzały, przyjaciel przestraszył się, że idą po niego. Wyskoczył przez okno. Tak nieszczęśliwie, że złamał nogę. Komisarz zainteresował się, czemu to zwykły człowiek skacze na bruk. Może ma coś na sumieniu? I wzięli go w obroty. A tak się nieszczęśliwie złożyło, że tamtego dnia szedłem z nożem na generała gubernatora. Jak zwykle miał przechodzić przez plac Admiralicji sam, bezbronny. Skoczyłem i jak spod ziemi wyrosli żandarmi. Pojmano mnie i skazano na śmierć. A dlaczego? Bo przyjaciel nieszczęśliwie lokum wybrał.

Polakowi zrzęda mina. Zebrani byli wstrząśnięci. Andriej pokiwał głową ze współczuciem.

– Nie winię go – powiedział. – Śledczy mają swoje metody. Ale nauka z tego taka, że lepiej wiedzieć mniej.

Wołodia zwany Czarnym przeżegnał się i splunął.

– Na psa urok. Jednak zebrałeś nas dziś, aby zdradzić sekret.

– Tak – w głosie przywódcy była radość. – Teraz, gdy mamy notatki Kibalczyca, niech drżą tyrani. Mamy czas do jesieni, aby w Warszawie przygotować hekatombę. Wysadzimy trzech carów. Ach, co to będzie za fajerwerk!

Spiskowcy popatrzyli na siebie niepewnie. Powoli docierała do nich wyjątkowość chwili. Oto los pozwala im zmienić bieg historii. Wreszcie, po latach upokorzeń, mają szansę spełnić swoje pragnienia. Zaspokoić

głód marzeń. Dla nich przecież porzucili rodziny i swoje środowiska. Dla nich znoszą biedę, głód i wieczny strach. A teraz świat jak jabłko zawisł na drzewie okazji. Trzeba tylko wyciągnąć rękę. I zerwać. Nie byłoby godni zwać siebie rewolucjonistami, gdyby nie wykorzystali takiej sposobności.

Natalia widziała, że Andriej jest wzruszony. To najważniejszy moment jego życia. Życia, które już raz stracił. Po ataku na generała gubernatora postawiono go przed plutonem egzekucyjnym. Gdy pop odmówił modlitwę, zapytano go o ostatnie życzenie. „Róbcie swoje” – odpowiedział ze złością. Założono mu worek na głowę. Żołnierze zarepetowali karabiny, usłyszał strzał. Wtedy osiwił. Ale wciąż stał. Żołnierze mieli rozkaz strzelać w powietrze. Car darował mu życie. W drodze łaski został skazany na dożywocie.

– Tak, tak, tak. – Ręce uniosły się w górę i zabrzmiały głosy zachwytu. Pod karcącym wzrokiem Andrieja obalacze starego porządku ściszyli głosy do szeptu. Tak – mamrotali – zabić cara., Tak – wzdychali – uwolnić lud. Tak – chrypieli – zbudować nowy, wspaniały świat! Natalia patrzyła ze wzruszeniem na ich podniecone twarze, oczy ogarnięte szaleństwem, zniszczone kołnierze surdutów zasypane łupieżem z przetłuszczonych włosów.

A więc to są moi nowi bracia – myślała z mieszaniną zachwytu i niepewności. – Mam swoją rodzinę.

Czuła się jak na linie. W samym jądrze tajfunu.

Podobał jej się Czarny, krępy chłopak o twarzy diabła. Było w jego ciele coś, co ją przyciągało. Jakaś dzikość, drżenie skóry. Miała ochotę dotknąć go, poczuć mięso, oszaleć. Aż w duszy roześmiała się z siebie.

I na pustyni znalazłabym obiekt westchnień.

Amory postanowiła odłożyć na później.

Może na nigdy? Przecież rewolucjonista to trup na urlopie. Wiedziała o tym. Ale nie chciała teraz o tym myśleć.

Po zabiciu carów wszystko się zmieni – pocieszyła się. Co? Nie miała pojęcia. Żyła złością. Pamięcią pogromu, w którym zginęła jej babcia. A ona sama... nie, o tym nie chce pamiętać...

– Bracia – Andriej podniósł rękę by uciszyć emocje. – Przed nami wiele pracy. Do jesieni musimy zbudować w Warszawie siatkę. Przygotować się na godne powitanie tyranów.

Cezary Nobel zaśmiał się rubasznie na te słowa. On najlepsze miał pojęcie, co może sprawić pocisk odpalony w kierunku karocy przewożącej monarchę.

Wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Roześmiane twarze bojowników natychmiast stężały. Kilku odruchowo sięgnęło do kieszeni, w których mieli rewolwery. Reszta rozejrzała się bezradnie wkoło, szukając drogi ucieczki.

Andriej skinął na Natalię.

– Wracaj do pokoju – pokazał na sypialnię, skąd niedawno wyszła. – Panowie – powiedział do współtowarzyszy. – Bawimy się.

Na stole stała butelki wódki, półmisek ze śledziami. W razie czego wszyscy mieli udawać, że świętują dobry interes, jaki zrobił Ormianin w handlu naftą.

– Chodź ze mną – Andriej wskazał Jurija.

Syn popa się zawahał. Przez twarz przebiegł mu skurcz.

Oczy przywódcy ściemniały.

Sięgnął po pistolet do kieszeni marynarki.

Jurij zbladł. Posłusznie wyszedł do przedpokoju.

Andriej szedł z tyłu, mierząc w plecy kochanka.

Spiskowcy patrzyli oniemiałi. Ktoś westchnął.

Andriej obejrzał się przez ramię.

– Ma być wesoło – krzyknął. – Pijcie, śmieJCie się, *riebiata*!

Ze swojego ukrycia, siedząc na twardym, wąskim łóżku, Natalia łowiła uchem dźwięki dobiegające z korytarza.

– Kto tam? – zapytał Andriej głosem rozbawionego, lekko podchmielonego człowieka.

Po krótkiej pauzie z klatki schodowej dobiegły słowa starszego mężczyzny.

– To ja, Andrieju Pawłowiczu, dozorca. Czynsz zbieram. Zarządca chory.

– Przyjdźcie kiedy indziej, dobry człowieku.

– Nie mogę... Sergiusz Władymirowicz, znaczy się zarządca, głowę mi urwie, jeśli obowiązku nie dopełnię. Zlitujcie się, Andrieju Pawłowiczu, otwórzcie.

– Pienędzy nie mam. Zajęty jestem.

– Kiedy ja muszę teraz.

I zdesperowany stróż walnął pięścią w drzwi.

– Wy mi tu nie hałasujcie, bo policję wezwę – zezłościł się Andriej.

Potrafi zachować zimną krew – przebiegło Natalii przez głowę. Poczuła, że dłonie, które zacisnęła na atłasowej torebce ma całe mokre. Wstała, podeszła do okna. Uchyliła je. Zobaczyła, że w bramie stoi żandarm. Patrzy w jej stronę. Szybko się cofnęła.

Niedobrze – zdążyła pomyśleć, gdy od klatki doleciały odgłosy

szurania butów. Ktoś jęknął. Ktoś zaklął.

– Otwierać, policja! – rozległ się gardłowy krzyk.

W drzwi załomotało wiele pięści.

– A to co innego. – Głos Andrieja nie tracił nic z tonu rozochoczonego młodzieńca. – Panowie dobrze trafili... zabawa na całego...

– Otwierać, bo wyważymy drzwi!

– Ależ oczywiście... – Andriej grał na zwłokę. – Gdzie ja te klucze podziałem?

Odbezpieczył rewolwer. Uciekł z katorgi. Nie zamierzał tam wracać.

Machnął do Jurija bronią, żeby otworzył drzwi.

Syn popa dotknął klamki ostrożnie, jakby paliła ogniem. Przekręcił klucz w zamku. W tym czasie Andriej przysunął mu lufę do głowy. Jurij się obejrzał. Zbladł. Poszukał wzrokiem oczu Andrieja.

– Andriusza... – szepnął. – Co ty robisz?

Andriej miał twarz kamienną jak zbocze Uralu.

– Kocham cię...

Pociągnął za spust.

Głowa Jurija wybuchła, jak kwiat nasturcji. Szaroczerwona miazga spłynęła po ścianie. Jego ciało upadło na podłogę. Kopał w drgawkach.

Andriej czuł, jak pękają mu tętnice.

Jestem trupem – pomyślał. – Niedługo się spotkamy.

Zaczerpnął powietrza w płuca i wrzasnął:

– Siostro, uciekaj!

Po czym szarpnięciem otworzył drzwi i wypalił w mrok klatki schodowej. Natalia usłyszała okrzyk bólu i odgłosy walki. Ktoś zbiegł po schodach. Znów padł strzał. Jeden, drugi. W brzuchu czuła kamień.

Uciekaj, ale jak?

Skoczyła do okna. Trzy piętra w dół. Pionowa ściana. Żadnych balkonów. Na dole ubita ziemia. W mieszkaniu rozległy się wołania: „Strzelaj, strzelaj!”. Znów palba pistoletowa. „Moja noga, moja noga!” – wrzeszczał Ormianin. Ktoś wyrócił stół, pękła rozbijana szyba. Sapania, stękania walczących, przepychających się mężczyzn. Wskoczyła na parapet. Arszyń niżej biegł gzyms szeroki na trzy cale. Dla zwykłego śmiertelnika ostrze brzytwy. Lecz ona była podniebną baletnicą. Ściągnęła buty, złapała zębami za paseczki i wyszła w trzypiętrową przepaść z wolnymi rękami. Żandarm stojący w bramie zaalarmowany strzelaniną wbiegł na klatkę schodową. Podwórko było puste. Rozłożyła ręce i przykleiła się do muru. Szukała palcami zagłębień między cegłami. Kapelusz miał małe rondo, nie przeszkadzał, wystarczyło lekko odchylić

głowę do tyłu. Powoli sunęła w lewo. Podwórko oficyny nie było pułapką. W jedną stronę otwierało się na plac budowy. Szła tam. Odgłosy walki zwabiły ciekawskich.

– Niezłe nogi masz, mała – usłyszała z dołu.

Ktoś się zaśmiał. Ktoś wołał policję.

Prawdziwa dama jest sobą w każdej sytuacji – w jej głowie pojawiły się słowa babci. Pomyślała, że bardzo bolą ją stopy.

Nie patrzyła w dół na gapiów. Sunęła w kierunku, gdzie był ratunek. Była już blisko węgła, gdy z okna, które opuściła, wyrzała głowa agenta.

– Stój – krzyknął.

Nie zareagowała. Ostrożnie stapała w lewo.

– *Ostanowkie, zieńszczina* – wołał mężczyzna o włosach zaczesanych do tyłu i przylepionych brylantyną. – *Ja budu strielat!*

Nie docenił dziewczyny. Sądził, że umiera ze strachu na wysokości. Dał jej czas. Gdy powtarzał swoje groźby, ona dotarła do rogu budynku. Widząc, że traci przewagę, agent wychylił się maksymalnie i pociągnął za spust. Musiał strzelić lewą ręką. Natalia właśnie przekładała nogę za narożnik. Zdążyła się schować. Jednak kula dopędziła ją. I przedziurawiła atlasową torebkę. Dziewczyna poczuła szarpnięcie. Pocisk zawadził o schowany wewnątrz nóż sprężynowy. Dar od Andrieja.

Czy ja naprawdę chciałam rewolucji? – przeleciało jej przez głowę. – I gdzie można się wypisać?

Za węglem czekał anioł. Tym razem przybrał postać rury spustowej od rynny. Natalia złapała się jej jedną ręką. Drugą wyjęła buty, których paski trzymała w zębach. Wypluła nagromadzoną ślinę, a buty rzuciła na dół, na pryzmę piachu. Złapała się rury dwoma rękami i zaczęła opuszczać się w dół. Syczała, kalecząc bose stopy na śrubach, którymi przykręcono rurę do muru. Na drugim piętrze minęła w oknie twarz kucharki. Mimo grozy sytuacji rozbawiły ją wytrzeszczone ze zdziwienia oczy kobiety.

– Wpadnę na omlet później! – krzyknęła do odrętwiałej kuchty. To był jej sposób na strach.

Zaraz krzyknęła drugi raz. Z przerażenia. Gdy poczuła, że odsuwa się od ściany. Śruby trzymające rurę nie były obliczone na taki ciężar. Zaczęły puszczać. Próbowwała złapać się jakiegoś występu, aby przyciągnąć się z powrotem, ale paznokcie tylko rozorały cegłę. Wtedy obrała inną taktykę. Gdy rura łamała się i odpadała od muru, odepchnęła się od niej. W ten sposób zyskała siłę potrzebną do obrotu. Pamiętała, że pod nią jest pryzma piasku, gdzie rzuciła buty. Spadała tam z zadartą i trzepoczącą suknią. Na szczęście nie było wysoko. Jakies dziesięć arszynów. Upadła na pryzmę,

mocno walnęła w piasek. Do oczu i ust dostały się jej drobne ziarenka. Szybko się poderwała, złapała buty i już biegła przez plac.

Archaniele Michale – błagała w duchu – ocal Andrieja.

Słyszała za plecami pogoń. Agenci ochrony zorientowali się, że ptaszek wyfrunął z klatki. Dwóch z nich – ten z brylantyną na włosach i jeszcze jeden, w długim płaszczu – wybiegło z mieszkania, gdzie aresztowali spiskowców. Wpadli na podwórko i zobaczyli, że obok jest plac budowy oddzielony od nich wysokim płotem. Po prawej stronie placu stała prawie skończona kamienica. Po lewej rośło kilka drzew. Chwilę trwało, zanim przedostali się przez wysoki drewniany parkan. Podstawili sobie beczkę i zdobyli przeszkodę. Gdy znaleźli się po drugiej stronie, zaraz zaczęli krzyczeć, żeby zatrzymać uciekinierkę. Wymachiwali pistoletami. Obawiali się strzelać, bo na placu kręciło się wielu robotników.

Natalia biegła boso, trzymając buty w ręce. Przeskakiwała kałuże błota. Dyszała z wysiłku i strachu. Widziała obojętne twarze robotników. Stali oparci na łopatach, obserwując, co się dzieje. Jakiś mężczyzna w kaszkiecie – może brygadier – podskoczył, chciał ją zatrzymać. W ostatniej chwili tuż przed nim zrobiła zwód jak zawodnik rugby i minęła go z lewej, nie z prawej. Podniosła rękę i puściła wolno atłasową torebkę, trzymając ją tylko za srebrny łańcuszek. Ukryty w torbie stalowy nóż sprężynowy inkrustowany masą perłową trafił brygadzystę między oczy. Mężczyzna krzyknął z bólu i wściekłości. Natalia gnała do przodu. Nie widziała, jak człowiek w kaszkiecie łapie się za twarz i zataczając, upada w błoto.

Przebiegła przez bramę prawie ukończonego budynku. Dalej stał wysoki płot. Za nim słyszała gwar ulicy. Przerzuciła buty przez ogrodzenie. Podskoczyła i złapała dłońmi za krawędź płotu. Podciągnęła się i prześliznęła jak wąż. Wyrwała buty z rąk małego ulicznika w podartej bluzie, który już chciał z nimi bryknąć. Rozejrzała się w prawo, w lewo. Jest wolna dorożka!

Wskoczyła, wołając:

– Na Newski Prospekt!

Dorożkarz obejrzał się przez ramię i zapytał flegmatycznie.

– Co wam tak śpieszno?

Natalia położyła się na siedzeniu, żeby nie było jej widać i wyjaśniła gorączkowo.

– Narzeczony mnie goni. Pijany... do bicia się wziął!

– Ot, głupek – mruknął woźnica. – Przed ślubem.

Natalia powstrzymała się, żeby nie wrzasnąć. Syknęła:

– Jedźcie, człowieku!

Ale woźnica ani myślał.

– Nie bójcie się, dam ja mu nauczkę. Poczekam tu i do rozumu mu przemówię.

Przy tych słowach trzasnął wymownie batem.

Natalii chciało się płakać.

– Kiedy on ma rewolwer! Jedźcie, podwójnie zapłacę!

– A, skoro tak.

Gwizdnął i zaciął konie. I popędził przed siebie, jakby go poborca podatkowy gonił. Szczęśliwa Natalia odetchnęła. Gdy wóz skręcił w przecznicę, rozsiadła się wygodnie i włożyła buty na ubłocone stopy.

Gdy dwaj agenci zdobyli płot i wyładowali na chodniku, wóz z Natalią był już daleko. Szpicle rozglądali się bezradnie. Wokół jechało wiele dorożek, powozów i furmanek. Tłumy wędrowały chodnikiem. Po dziewczynie ani śladu. Klęli i tupali. Ich złość obserwował mały ulicznik. Chłopak w podartej bluzie, wysmarowany na twarzy.

– Szukacie dziewczyny, co biega na bosaka? – zapytał.

Wybrylantowany podskoczył do niego.

– Widziałeś ją? Gadaaj, gdzie pobiegła?

Ulicznik zdjął poplamiony kaszkiet. Przez chwilę milczał, napawając się poczuciem władzy. Wreszcie wyciągnął brudną łapę.

– Tam! – pokazał w przeciwną stronę.

Agenci pobiegli, roztrącając przechodniów.

Chłopak patrzył za nimi, śmiejąc się w kułak.

VIII

Blade wiosenne słońce szybko schowało się za dachy. Noc jak urzędnik służbista przybiła pieczętą czerni nad całym Petersburgiem. Po rozerwaniu zakontraktowanej liczby łańcuchów siłacz Sasza poszedł spać. Gdy on chrapał w wozie, jego żona, szczuplutka żonglerka Rachelka Pietrowna przy świetle naftowej lampy zszywała grubą nicią cyrkową koszulę męża. Materiał w czarno-białe pasy był przepocony i wytarty. Rachelka szyła na okrętkę, nie dbając o finezję. I tak się zaraz podrze – myślała. Przerwała na chwilę robotę i wstała, żeby podpalić pod samowarem. Przeszła na tył wozu, który był im domem. Sasza spał na wąskim łóżku i chrapał jak stado słoni. Rachelka złapała go za nos i pociągnęła w bok. Zachęcony tak czule, zmienił pozycję, chrapanie ustało.

Właśnie myślała o Natalii Pol, dziewczynie na linie, która cudem przeżyła upadek i następnego dnia zniknęła bez śladu, gdy ktoś zapukał do ich wozu.

Pewnie ten karzeł Fiodor chce wyciągnąć mojego męża na wódkę – sarknęła w duchu.

Gdy otworzyła drzwi, krzyknęła, zasłaniając usta.

Przed nią na schodach prowadzących do wozu stała Natalia. Suknię miała pochłapaną błotem, spod kapelusika wystawały potargane włosy.

– Szybko – powiedziała – wpuść mnie.

Rachelka, córka niemieckich Żydów, którzy w Rosji poznali, czym są pogromy, zareagowała odruchowo. Złapała Natalię za rękę i wciągnęła do środka. Zamknęła drzwi i spojrzała na gościa. Pisnęła i przytuliła dziewczynę z całych sił.

– Gdzieś ty była? – śmiała się przez łzy.

Natalia milczała. Nie mogła przecież powiedzieć prawdy. A kłamać nie chciała.

– Mam kłopoty – mruknęła.

Rachelka potrząsnęła mężem.

– Gruby, patrz, kto przyszedł!

Wyrwany ze snu olbrzym siadł w pościeli i patrzył nieprzytomnym wzrokiem.

– Natalia? – w końcu rozpoznał dziewczynę.

Objął ją, zniknęła w jego potężnych gołych ramionach. Przez chwilę poczuła się bezpieczna jak dziecko.

Są jeszcze ludzie na świecie – pomyślała.

Bała się. Od strachu ścisnęło ją w dole brzucha. Mdliło jak przed kobiecymi dniami. Znów była ściganym zwierzęciem. Jak przed laty w B.

Rachela pogłaskała ją po włosach i wróciła do samowara. W ciasnym wozie zapachniało herbatą.

– Ten drań Rublow powiedział, że uciekłaś, bo masz dość cyrku i chodzenia po linie – trąkotała Rachelka, napełniając szklanki. – A twoje rzeczy zapakował do worków. Powiedział, że sama je odbierzesz. Gdzie teraz mieszkasz? Rublow mówił, że masz w Petersburgu rodzinę.

Natalii zakręciły się łzy w oczach. Przełknęła ślinę. Ale nie zapłakała. Skoro nie potrafi płakać w samotności, tym bardziej nie rozklei się przy ludziach.

– Kochani – szepnęła, łapiąc oddech. – Stało się coś strasznego. Nie mogę powiedzieć... lepiej, żebyście nie wiedzieli... Muszę uciekać.

– Matko... – jęknęła Rachelka. Porzuciła samowar i klapnęła przy

niej na łóżku.

Sasza wciągnął zacerowaną koszulę przez głowę.

– Możemy ci jakoś pomóc? – zapytał.

Natalia uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Po pierwsze, w moich rzeczach jest list z Warszawy, muszę go mieć. I płaszcz, i parę ciuchów...

– To chodźmy. – Rachelka wstała. Pokażę ci, gdzie Rublow rzucił worki.

Natalia złapała ją za rękę.

– Nie chcę, żeby ktoś mnie widział. Wam ufam, ale boję się ludzi.

Rachelka oddała uścisk. Pochodziła z rodziny, gdzie strach był stałym gościem. Tajemnice, uciezki, dla niej to chleb powszedni. Może dlatego zakochała się w mężczyźnie potężnym jak skała. Był jej ostoją. Dla niego zdradziła swoją nację. Ojciec nie wybaczył jej, że poszła za goja.

– Przyniosę, co trzeba – obiecała Natalii.

Zarzuciła chustę na ramiona i wyszła z wozu. Przeszła przez błotniste podwórze i zniknęła pod cyrkowym namiotem. Natalia odwróciła się w stronę Saszy.

– Potrzebuję pieniędzy – powiedziała wprost.

– Spodziewałem się – mrugnął do niej. – Ile?

– A ile możesz dać?

Siłacz podniósł się i sięgnął do marynarki rzuconej na krzesło. Wyjął portmonetkę i wysypał z niej wszystkie monety.

– Niewiele... będzie kilka rubli.

– Mało.

Sasza podrapał się w głowę. Kochał cyrk, ale nienawidził jego biedy. Wiedział jednak, że w normalnym świecie nie dałby sobie rady. W cyrku rwanie łańcuchów jest łatwe. W świecie człowieka oplątuje tyle więzów, że kamienieje jak posąg. Dlatego kochał Rachelkę. Była jak on. Dzika i niczym nieskrępowana. Dla niego porzuciła groźnego Jahwe.

– Mam złoty zegarek – pocieszył Natalię. – Znam taką jedną lichwiarke... obudzę ją i przyniosę z pięć rubli.

– Jesteś kochany – szepnęła dziewczyna. Strasznie było jej wstyd prosić o wsparcie.

Gdy Sasza wyszedł, wróciła Rachelka.

– A tego gdzie wywiało?

Natalia zapytała, czy Rachelka zgadza się na pożyczkę pieniędzy.

– Dobrze, dobrze – kiwnęła głową zonglerka. – Ja tobie dziś, ty mnie

jutro...

Jej filozofia była prosta. Nie można trzymać kurczowo gotówki, bo wtedy nie ma miejsca na nową. Uśmiechnęła się i wyciągnęła schowaną pod łóżkiem butelkę wiśniówki. Nalała do szklanek po herbacie.

– Twoje zdrowie! – uderzyła w szkło Natalii i wychyliła jednym haustem. – Pij szybko, nie chcę, żeby Sasza wiedział, że mam tu nalewkę.

Natalia ogładnęła rzeczy przyniesione przez żonglerkę. Suknia, sweter, płaszcz. Ciepłe majtki, szczotka do włosów, proszek do mycia zębów. Wszystkie zapakowane były w płócienną torbę podróżną ze skórzanymi wzmocnieniami.

– O wszystkim pomyślałaś – ucieszyła się. – A gdzie list?

Rachelka wyciągnęła zza pazuchy kopertę. Natalia złapała ją i szybko wsadziła do atłasowej torebki.

Zdążyły się jeszcze napić, zanim wrócił siłacz.

– Mogę się u was przespać? – zapytała Natalia, gdy schowała przyniesione przez niego monety.

– Oczywiście – zadysponowała szczupła żonglerka. – Sasza rozłoży sobie koc na podłodze, a ty przytulisz się do mnie.

– Dziękuję, kochani. – Natalia się uśmiechnęła. Czuła wielką wdzięczność. Chciała powiedzieć, że skoro świt opuści ich gościnny wóz i zniknie bez śladu, ale spojrzała przez okno. Przez plac obok klatek z dzikimi zwierzętami szła wolno jakaś zgięta postać.

Mocno zabiło jej serce. To mógł być tylko jeden człowiek.

Zerwała się i zaskakując gospodarzy, przyłgnęła nosem do szyby. On czy nie on? – pytała siebie gorączkowo. Skoczyła do drzwi, uchyliła je i zawołała w ciemność:

– Andriej!

Wlokący się przez podwórzec cień podniósł głowę. Księżyc zasrebrzył noc i teraz była już pewna. Stał tam! Zgięty wpół. Bez płaszcza mimo zimnej nocy. W surducie, w którym widziała go rano. Widocznie, jak ona, ukrywał się cały dzień, by po zmroku przyjść w jedyne miejsce, w którym mógł ją znaleźć.

Archaniele – szepnęła – dziękuję.

Zarzuciła chustę Rachelki na głowę i zbiegła po kilku schodkach.

– Kochany... – objęła zgiętą postać.

Andriej syknął z bólu.

– Co ci? – zapytała przestraszona.

– W brzuch... trafili... – stęknął i oparł się na niej całym ciężarem. Zaskoczona upadłaby razem z nim w błoto, ale na szczęście pojawił się

Sasza. Chwycił ich i jak piórko postawił do pionu.

– Wezmę go – powiedział. Natalia weszła za jęczącym Andriejem do wozu.

Sasza położył rannego na łóżku. Rozchylił surdut, który Andriej kurczowo przyciskał do ciała.

– Boże... – jęknęła przerażona Rachelka.

W blasku naftowej lampy koszula była czarna od krwi.

– Ja tu na nic się nie zdam – ocenił Sasza. – Trzeba lekarza.

– Nie – stęknął ranny. – Natalia!

Dziewczyna nachyliła się do jego ust. Andriej cuchnął potem i krwią.

– Nasz plan – powiedział, zaciskając zęby z bólu.

Natalia położyła palec na jego ustach.

– Nic nie mów. Wszystko będzie dobrze.

– Musisz... – syknął zły na własną bezradność. – Teraz tylko ty możesz... – przerwał i zakaszał. Z jego ust popłynął strumyk krwi.

Natalia skamieniała. Poczuła, że kręci jej się w głowie. Widok krwi osłabiał.

Andriej złapał jej nadgarstek. Zacisnął zakrwawione palce. Podniósł głowę.

– Anielskie skrzydła – wycharczał. Chwilę oddychał, zbierając siły. – Dziwka...

Bredzi – pomyślała z rozpaczą.

Opadł na poduszkę. Jego oczy zaszyły mgłą. Twarz wykrzywił ból. Jakby założył maskę dzikiego bóstwa z serca Afryki. Natalia patrzyła na niego. I nie mogła go poznać.

Archaniele – pertraktowała z duchami. – Weź mnie zamiast niego, proszę.

Lecz anioły potrafią być nieskończenie niewzruszone. Himalaje granitu. Przez ciasne wnętrza wozu przeleciał podmuch wiatru. Wszyscy wstrząsnęli się od zimna.

– Pobiegnę po lekarza – zaproponował Sasza. Nie cierpiał bezradności.

Natalia spojrzała na niego z podłogi.

– Nie wiesz, na co się narażasz.

Rachelka poparła męża.

– Idź, przecież nie damy tu skonać człowiekowi.

Natalia pokiwała głową.

Może mają rację? Grzech nie pomóc.

Pochyliła się nad Andriejem.

– Kochany – szepnęła. – Uratujemy cię.

Pochyliła się jeszcze bardziej. Twarz rannego była nieruchoma. Bardzo nieruchoma. Oczy Natalii powoli się rozszerzały. Aż zrozumiała.

– Nie! – krzyknęła i rzuciła się na kuzyna. Objęła go mocno. Przywarła policzkiem do jego policzka.

– Nie zostawiaj mnie – szeptała mu do ucha. – Nie zostawiaj mnie samej, proszę.

Jej głos cichł, zanikał. Potem już tylko leżała obok, nieruchoma, jakby to ją dopadła kostucha. Została tak długo. Rachelka spojrzała na Saszę. Pokiwał głową. Wzruszył ramionami. Żonglerka siadła obok Natalii i gładziła ją po włosach.

Natalia złapała zębami koc. Bolało ją całe ciało. Ramiona drżały. Nie płakała. Ale szlochała sucho. Bez łez.

– Dlaczego? – powtarzała. – Dlaczego?

Rachelka wytarła oczy i sięgnęła po wiśniówkę. Podała Natalii, nie zważając na zdziwione spojrzenie męża.

– Pij.

Natalia puściła koc i podniosła głowę. Odgarnęła poplątaną grzywkę. Sięgnęła po flaszkę. Pociągnęła. Tak w Rosji rozprawia się z metafizyką.

– Dziękuję. – Oddała butelkę przyjaciółce, które też zdrowo łyknęła. Nawet Sasza dostał dyspensę.

A potem mistrzyni chodzenia po linie wstała. Przez chwilę zakręciło jej się w głowie. Myślała, że zwymiotuje. Ale poczuła ziemię pod stopami. Twardy grunt. Stała prosto. I zrobiła to, za co Andriej byłby jej wdzięczny. Za co by ją podziwiał. I szanował.

– Sasza, musimy pozbyć się ciała – powiedziała, jakby chodziło o wycieczkę za miasto.

Siłacz spojrzał na nią zdumiony.

– Ale... – zaprotestował. – Pop, pogrzeb.

Natalia stanęła przed nim. Wzięła się pod boki. Spojrzała do góry, prosto w oczy siłacza.

– To Andriej, mój kuzyn – powiedziała z mocą. – Najbliższa mi osoba. Coś jak ojciec, brat i mąż w jednym. Ale inaczej nie można. Zrozum.

Odwróciła się, żeby widzieć też Rachelkę.

– Andriej jest... on walczył z rządem. Dla nich to bandyta. Najmniejsze podejrzenie, że coś was z nim łączy i jesteście ściganą zwierzyną.

Rachelka spojrzała przestraszona.

Natalii drgnęło serce.

– Przepraszam, że was w to wciągnęłam.

Rachelka machnęła ręką. Sasza coś burknął. Ale zamilkł pod złym okiem żony.

– Musimy wrzucić... go – poczuła, jak trudno mówić o Andrieju jak o przedmiocie – do Newy. On by tak chciał. Tak będzie najbezpieczniej.

– Nie! – Rachelka krzyknęła przerażona. – Trzeba do ziemi, bo nie zmartwychwstanie po Sądzie Ostatecznym.

Natalia przytuliła przyjaciółkę. Pogłaskała ją po głowie.

– Naprawdę w to wierzysz? – zapytała łagodnie. – Daj Andriejowi odejść tak, jakby tego chciał. A on za nic miał bajania rabinów. Kochał wolność.

Sasza podrapał się po głowie.

– Przydałaby się chociaż modlitwa.

Natalia wzruszyła ramionami.

– Do kogo? Do Darwina? Do Bakunina? To byli jego bogowie.

Rachelka poderwała się i wylała za okno herbatę, którą pili. Na zdziwiony wzrok męża wzruszyła ramionami.

– On może nie wierzy. Ale ja tak. Trzeba wylać wodę, żeby nie dostała się do niej trucizna z miecza Anioła Śmierci, *Malach ha-Maweta*.

Mała Żydówka krzątała się dalej. Ze skrzyni na ubrania zaczęła wyrzucać zawartość.

– Gruby, zapakujesz ciało do środka i wyniesiesz na plecach – rozkazała. – Jest noc, nikt cię nie zobaczy.

Natalia pokręciła z podziwem głową.

Czyż Żydówki nie są natury mądre jak *chachami*¹? – zapytała w duchu.

– Poczekaj – powiedziała do Saszy, gdy ten podniósł zwłoki.

Przeszukała kieszenie umarłego. Z prawej wyjęła zielony zeszyt Kubalczyca. Z lewej garść pieniędzy i paszport. Oddała siłaczowi jego ruble.

– Odbierz jutro swój złoty zegarek – uśmiechnęła się. – I oby zawsze pokazywał ci dobry czas.

Zamoczyła kciuk we krwi i wymalowała na czole zmarłego gwiazdę Dawida. Symbol połączenia ziemi i nieba. Przeżegnała go po chrześcijańsku, znakiem słońca i zamknęła mu powieki.

– Będę pamiętać, Andriejku. – rzekła cicho. – Zostań z aniołami.

¹ Chacham – hebr. hākhām „mędrzec”, uczony w prawie żydowskim.